

Dziś w numerze: **Pani Curie** **Wieczory teatralne** **Cywilizacja wypoczynku**
Madame Sabattini **Orson Weller o filmie** **Gawędy o moim życiu**
Recenzje **Felietony** **Polonica**

odgłosy



Nr 18 (432)
7. V. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



TERESA WOJCIECHOWSKA

Pospekulujmy książkami!

Prawdziwą atmosferę księgarni znają tylko prawdziwi miłośnicy książki, bibliofile, szperacze. Tacy, którym daje się książkę spod ludy. Stali klienci, zna się ich gusty, odkłada się dla nich specjalne pozycje. Pozwala się im grzebać w nowościach, wchodzić do magazynu.

Wcale nie dla zwiększenia obrotów. Dlatego, że oni się znają na tym co dobre. że im warto pokazać nawet jeśli nie kupią, choćby tylko po to, żeby podzielić się swym zachwytem. To już coś z pogranicza podziwu dla dzieł sztuki. Myślę, że takie kontakty z klientem czynią pracę księgarza piękną, taką, która przywiązuje na całe życie, czasem przechodzi na dalsze pokolenia.

Atmosfera intymności i porozumienia między dwoma znawcami. Ta atmosfera w antykwariacie jest jeszcze bardziej uchwytana, zgęszczona.

Pan trochę z angielską ubrany, ale akcent czysty, krajowy. Ma pan coś nowego — pyta. Jest! „Historia Powszechna Konia” przez Maryana Hr. Czapskiego — w 1874 roku wydana. Zmartwił się: To już mam. Nie nowego dla niego nie było. Żał mi się go zrobiło, szkoda że nie mam u siebie nic o koniach, nie było w rodzinie zainteresowań. Ten pan od lat kupuje wszystko o koniach. Powojenne wydawnictwa ma. Szuka starych, jak najstarszych. W epoce koni mechanicznych hobby prawie rozczulające.

Różni są książkowi hobbyści. Jeden zbiera o koniach, inny o owcach. Numizmatyka, heraldyka, stare sztuchy, starodruki. Ale najczęściej Polaków szpera po historii. O Napoleonie i Kościuszkę, o Paderewskim i jego żonie. Młodzi i starzy. Od 12 lat zagląda tu młody człowiek. Zawsze interesowała go historia. Zaczął jako chłopiec, teraz jest studentem, historii oczywiście. Choć w Krakowie, ale przynajmniej raz na kwartał na Piotrkowską 133 zagląda.

Panie w wieku dowolnym szalają Mniskówny, Zarzyckiej, Rodziewiczówny, młodzież Greya, Baxtera, Branda. Wszyscy kryminałowi. Ale to nie są ci klienci, których się faworyzuje i dla których ma się względy. To są „klienci spoza ludy”. Tak się ich nazywa.

Niedawno odwiedził antykwariat gość z Monachium. Studiując polonistykę na tamtejszym uniwersytecie. Interesowały

Dalszy ciąg na str. 5

HELENA KARWACKA

Wandurski i Broniewski

Dokumenty przyjaźni Witolda Wandurskiego z Władysławem Broniewskim i ich spory ideowe odnajdujemy dziś w twórczości, listach i okrucinach wspomnień obu pisarzy, które pozwalają na rekonstrukcję treści, historycznej kanwy i barwy emocjonalnej tego związku.

Dokumentem wszakże najcenniejszym, bo bezpośrednim, „na gorąco”, rejestrującym wszelkie doznania, wydarzenia i przemyślenia są listy Wandurskiego do Broniewskiego, które ten

skrzętnie zachował w osobistym archiwum. Ocalały one szczęśliwym zbiegiem okoliczności z wojennej zawieruchy. Los natomiast nie oszczędził listów Broniewskiego do przyjaciela, które przepadły — wydaje się bezpowrotnie — zagubione gdzieś na nieprostych szlakach życiowej drogi łódzkiego poety. Jest więc tej przyjaźni dokument bezpośredni ale jednostronny. Stosunkowo pełna rekonstrukcja tego związku jest jednak możliwa; dopomagają temu pozostałe dokumenty oraz — rzecz charakterystyczna — same listy Wandurskiego, zdarzało się bowiem, że polemizując z przyjacielem w istotniejszych kwestiach powtarzał jego argumenty. Rozdzieleni niewielką przestrzenią: Warszawa — Łódź, pisali do siebie dość często, a wyraźne nasilenie korespondencji obserwuje się zwłaszcza wtedy, gdy Wandurskiego zatrzymywały w Łodzi pilne prace, lub po prostu brak pieniędzy, nierzadko uniemożliwiający mu wyjazd do niedalekiej stolicy. W rezultacie powstał bogaty zbiór listów, niekiedy bardzo obszernych, wysyłanych w latach 1924–1927. W tych też latach zamyka się najważniejszy etap ich przyjaźni.

Poznali się w 1923 roku na terenie Uniwersytetu Ludowego w Warszawie, z którym Wandurski utrzymywał ścisły kontakt już od początku 1922 roku. Przyjeżdżał tu z odczytami o rewolucyjnym teatrze, a nawet prowadził przez czas jakiś teatralny zespół amatorski, złożony ze słuchaczy uniwersytetu, z którym przygotował inscenizację „Lewą marsz” i Prologu do „Misterium-buffo” Majakowskiego. Placówka ta, pozostająca pod silnymi wpływami komunistów, prowadziła szeroko zakrojoną i niezwykle aktywną działalność oświatową i kulturalną wśród robotników. Skupiony wokół Uniwersytetu Ludowego i Związku Robotniczych Stowarzyszeń Kulturalno-Oświatowych krąg działaczy i publicystów komunistycznych (A. Sokolicz, E. Golde-Stróżecka, J. Hempel, J. Heryng, S. Rudniański i in.), zaczął wydawać od 1922 roku pismo „Kultura Robotnicza”, z którym Wandurski od chwili jego powstania współpracował.

Kontakty między obu poetami zacieśniały się na gruncie współpracy z „Nową Kulturą”, nową edycją skonfiskowanej „Kultury Robotniczej”, której sekretarzem w grudniu 1923 roku został Broniewski. Na ten czas przypadł proces gwałtownej radykalizacji poglądów młodego poety, głęboko rozczarowanego do rzeczywistości powojennej. Wandurski — starszy od Broniewskiego o sześć lat — miał już poza sobą pewne doświadczenia literackie oraz ustalone przekonania polityczne i poglądy ideowe, które uformowały się i okrzepły w czasie

jego pobytu w ogarniętej rewolucją Rosji. Za najistotniejsze w swoim życiu uznał lata 1917–1920, które — zwierzał się przyjacielowi — „zbudziły mnie do życia, do myślenia, do pisania wreszcie” (list z 22 I 1926). Od początku ustosunkowany krytycznie do rzeczywistości w niepodległej Polsce nie przeżywał więc — jak Broniewski — głębokiego do niej rozczarowania. Należy zatem przypuszczać, że w początkach ich przyjaźni był „stroną silniejszą”. Ich wspólne kontakty nie układały się jednak na zasadzie zależności czy wpływów, ale wspólności dążeń, co od początku nadawało temu związkowi charakter współpartnerstwa. Oba — rzecz znamienne — debutowali przekładem tego samego wiersza Majakowskiego — „Poeta-robotnik”, który najpełniej określić miał kierunek ich przyszłej drogi poetyckiej. Wandurski swój przekład opublikował w „Robotniku” w 1921 roku — Broniewski trzy lata później w „Nowej Kulturze”.)

Od czasu współpracy w „Nowej Kulturze”, w której Wandurski — wtedy czołowy poeta tego pisma — publikował wiele wierszy, przekładów i artykułów, datuje się ożywiona między nimi korespondencja. W pierwszych listach, tytułowanych jeszcze „Kochany Panie Władysławie”, Wandurski pisał najczęściej o własnych zamierzeniach i pracach pisarskich, z których większość wiązała się z planami wydawniczymi „Nowej Kultury”. Pismo to, stawiające sobie zadanie tworzenia podstaw kultury socjalistycznej, dużo uwagi poświęcało sytuacji we współczesnej literaturze polskiej, inicjowało dyskusje o nowej sztuce i literaturze proletariackiej. Na ten okres przypadła współpraca tygodnika z przedstawicielami młodej awangardy poetyckiej, po której wiele sobie obiecywano. Zamieszczali tu swoje utwory i dyskutowali o poezji: Mieczysław Braun, Stanisław Bruz, Bruno Jasieński, Anatol Stern, Aleksander Wat. Wandurski pisał o tym do Broniewskiego:

„Każdy numer „Nowej Kultury”, który mnie dochodzi, sprawia mi prawdziwą radość: widzę, że pismo rozwija się szybko — i to właśnie w kierunku, który mi nadać należało. Bezsprzecznie jest w tym dużo zasługi pana — dlaczego tak myślę, nie wiem, ale czuję [...]. Nie obiecywałem sobie dużo z współpracy grona „młodych” w „Kulturze”. Teraz jednak widzę, że coraz realniejsze stają się widoki na utworzenie trzeszenia artystycznego, opartego na przyjaźni osobi-

Dalszy ciąg na str. 7



Narada partii komunistycznych i robotniczych w Europie znalazła bardzo szeroki oddźwięk w prasie światowej. Zacytujmy kilka komentarzy.

„RUDE PRAVO” (CSRS): „Było to nie tylko największe spotkanie przedstawicieli ruchu komunistycznego w ostatnich siedmiu latach, ale także spotkanie najdonioślejsze, ponieważ problemy, które w Karłowych Warach omawiano, dotyczą wszystkich ludzi w Europie”.

„BORBA” (Jugosławia): „Właśnie obecnie nastąpił czas, kiedy współpraca europejska jest nie tylko przedmiotem rozmów, lecz wyraża się w wielu konkretnych inicjatywach...”

„IL PAESE SERA” (Włochy): „Konferencja partii komunistycznych aprobuje dokumenty, używające do nawiązania kontaktów z siłami socjalistycznymi całego kontynentu oraz masami katolickimi dla zapewnienia pokojowej przyszłości”.

„WASHINGTON POST” (USA): „Gomulka proponuje zawarcie traktatu stawiającego poza prawem użycie siły w Europie”.

„HUMANITE” (Francja): „Nienaruszalność granic, uznanie istnienia dwóch państw niemieckich, udaremnienie zbrojeń atomowych w Niemczech są naczelnymi warunkami pokoju”.

To załatwienie pięć z niezliczonych głosów na temat przebiegu narady i jej trzech dokumentów: „Oświadczenia” (liczącego 3.600 słów), nt. pokoju i bezpieczeństwa w Europie, „Apelu w sprawie poparcia dla narodu wietnamskiego” oraz „Oświadczenia w związku z przewrotem wojskowym w Grecji”.

Co zwraca uwagę w pierwszym z wymienionych dokumentów, a zarazem podstawowym?

Podkreślenie nadrzędności sprawy pokoju dla wszystkich narodów naszego kontynentu, przedłożenie konkretnego programu działania na rzecz bezpieczeństwa w Europie oraz określenie dróg jego urzeczywistnienia — stworzenia szerokiego frontu antyimperialistycznego.

Czytelnicy z pewnością uważnie przestudiowali „Oświadczenie”, publikowane na łamach prasy codziennej, dlatego też ograniczę się do przypomnienia kilku propozycji, jakie wysunęła konferencja w Karłowych Warach.

Wśród wielu z nich na pierwszym miejscu wymienić trzeba propozycję zawarcia układu wszystkich państw europejskich o WYRZECZENIU SIĘ PRZEMOCY w stosunkach międzynarodowych oraz ingerencji w wewnętrzne sprawy innych krajów.

Narada podtrzymała także jako aktualne propozycje utworzenia stref bezatomowych, czy też stref zamrożonych zbrojeń oraz gotowości rozwiązania organizacji wojskowych Układu Warszawskiego i Paktu Północnoatlantyckiego (zważając, że ten ostatni wygasa w 1969 r.).

Duże znaczenie dla współpracy krajów europejskich ma także przełamanie barier dyskryminacyjnych w handlu, rozwój kooperacji w produkcji, rozszerzenie współdziałania w dziedzinie naukowo-technicznej, wymiana kulturalna...

Narada przedłożyła więc rozległy program, na który składa się zespół środków, możliwych do przyjęcia przez wszystkie kraje naszego kontynentu.

„Przezwyciężając to, co nas dzieli — czytamy w końcowych fragmentach „Oświadczenia” — stworzymy potężną siłę zdolną zatriumfować nad wojną i niepewnością i otworzyć drogę do trwałego pokoju i dobrobytu narodów.”

Narady europejskie są w stanie same decydować o sprawach pokoju i bezpieczeństwa swego kontynentu”.

Zbyt wcześnie jeszcze, aby w pełnych rozmowach ocenić znaczenie narady 25 partii komunistycznych i robotniczych. Jedno wszakże jest pewne: nazwa — Karłowe Vary weszła już do języka politycznego jako synonim konstruktywnego działania w kierunku pokoju, bezpieczeństwa i współpracy narodów Europy.

* * *

W ub. tygodniu obiecałem powrócić do niektórych problemów i stawa chciałbym dotrzeć. Z dużym zaniepokojeniem opinia światowa śledzi rozwój wydarzeń w Grecji. Przewrót wojskowy, w rezultacie którego zawieszono instytucje demokratyczne i rozszalał się terror (dotychczas aresztowano ponad 6,5 tys. osób, a nad życiem bohatera antyhitlerowskiego Ruchu Oporu — Manolisa Glezosa zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo), budzi uzasadniony niepokój.

Kryzys w Grecji ma swe początki w decyzji króla Konstantyna sprzedać prawie dwóch lat o rozwiązaniu rządu George Papandreu, który dysponował w parlamencie znaczną przewagą, a który głosił program reform społecznych. Od tej pory upadły już cztery gabinety, a wyznaczone ostatnio wybory na 28 maja zapowiadały wbrew woli króla i reakcji zwycięstwo Unii Centrum i lewicowej EDA. W tych warunkach prawica — sterowana przez agentów oślawionej CIA — dokonała zamachu stanu, stawiając Grecję w rzędzie takich dyktatur, jak Hiszpania i Portugalia. Sądzę, że o Grecji w najbliższym czasie będzie jeszcze głośno.

I jeszcze kilka słów o pogrzebie Adenauera. Pisałem, że wyświadczył on przysługę Stanom Zjednoczonym nawet po śmierci. To stwierdzenie uzasadnione jest faktem, że prezydent Johnson miał pretekst do przyjazdu do Europy i odbycia kilku ważnych rozmów politycznych. Szczególnie interesowały komentatorów jego spotkania z Kiesingerem. To, co najistotniejsze w tych rozmowach, to przyrzeczenie ze strony Johnsona przeprowadzania systematycznych konsultacji z rządem bońskim. Nie trzeba być prorokiem, aby przewidywać, że konsultacje te na pewno nie będą służyły międzynarodowemu odprężeniu.

W. SŁAWSKI

Kronika Tygodnia

■ U Thant: „Zawsze utrzymywałem, że wojna wietnamska jest rezultatem masowej i zdecydowanej walki cierpiącego narodu, który od dawna dąży do niezależności i do samookreślenia narodowego, a nie święta wojna o triumf jakiejś specyficznej ideologii. Nacjonalizm, choćbyśmy nawet pragnęli widzieć go właściwym do szerszego internationalizmu, pozostaje wciąż najpotężniejszym czynnikiem w życiu narodu.”

■ Komisja do spraw reorganizacji i rozwoju ZKJ przyjęła projekt też w sprawie dalszego rozwoju i reorganizacji Związku Komunistów Jugosławii. „ZKJ — stwierdza się w projekcie — nie może dłużej postępować jako siła oddziałująca z zewnątrz na różne formy aktywności społecznej ludzi pracy, lecz jako czynnik wewnętrzny, który siłą idei i argumentacji walczy, aby decyzje podejmowane przez organy samorządowe zmierzały w kierunku postępu społeczeństwa socjalistycznego.”

■ „New York Times” wyraża opinie, że badania kosmiczne powinny być prowadzone przez międzynarodową organizację, w której współpracowałyby wszystkie kraje świata, które by tego pragnęły. Trzech kosmonautów amerykańskich, którzy znaleźli śmierć w pojemniku „Apollo” — stwierdza dziennik — byłoby może jeszcze przy życiu, gdyby ich kabina wypełniona była dwoma gazami, tak jak w pojemniku

przeciwnikami i zwolennikami Mao Tse-tunga.

■ Amerykańska Komisja Energii Atomowej wydała licencje eksportowe na dostawę do Związku Radzieckiego niewielkiej ilości izotopów przeznaczonych do badań medycznych.

■ Dowódca wojskowy Nigerii płk. Gwon stwierdził, że w związku z secesją bogatego rejonu Nigerii Wschodniej, sytuacja w tym kraju szybko rozwija się na wzór „sytuacji kongijskiej”.

■ Premier Demokratycznej Republiki Wietnamskiej Pham Van Dong powiedział w wywiadzie prasowym, że rząd Republiki gotów jest rozmawiać ze Stanami Zjednoczonymi „w każdej chwili” po zaprzestaniu ataków na Wietnam Północny.

■ W Waszyngtonie obradowali członkowie agresywnego Paktu SEATO. W konferencji nie wzięła udziału Francja, Pakistan zaś reprezentowany był nie przez ministra spraw zagranicznych, lecz miejscowego ambasadora, który praktycznie nie uczestniczył w obradach. O atmosferze towarzyszącej obradom świadczy zamieszczona przez jedną z gazet amerykańskich rozmowa na ten temat:

Pytanie: — Kiedy sojusz nie jest sojuszem?

Odpowiedź: — Wtedy, gdy on jest takim jak SEATO.

Pytanie: — Dlaczego się go nie rozwiązuje?



Ach, moja biedna głowa.

radzieckim, a nie czystym tlenem.

■ Rząd indonezyjski podjął decyzję zwrotu szeregu znacjonalizowanych spółek zagranicznych byłym ich właścicielom.

■ Władze pekińskie zorganizowały galowy pokaz filmowy dla dyplomatów akredytowanych w Chinach. Zaprezentowany został film pt. „Mao Tse-tung jest czerwonym słońcem w naszych sercach”, ilustrujący obchody 17 rocznicy powstania ChRL.

■ Nawiązując do krytyki z jaką spotykały się demonstracje antywojenne w USA ze strony prezydenta Johnsona oraz naczelnego dowódcy wojsk amerykańskich w Wietnamie gen. Westmorelanda, republikanśki senator Mark Hatfield, oskarżył administrację Johnsona o uprawianie „politycznego szantażu” i stosowanie „taktyki McCarthy’ego” w dążeniu do zdławienia opozycji wobec wojny w Wietnamie.

■ Źródła japońskie informują, że w wielu prowincjach chińskich trwają gwałtowne zamieszki pomiędzy

■ W Genewie kontynuowane są rozmowy między szefa-

mi delegacji USA i ZSRR biorącymi udział w konferencji genewskiej w ramach Komitetu 18 na temat układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. „Mam nadzieję, że zdołamy opracować projekt układu i przedstawić go w dniu 9 maja. Zrobimy wszystko co w naszej mocy” — oświadczył szef delegacji radzieckiej Roszczin.

■ Rada londyńskiego teatru „National Theatre” jednomyślnie uznała, że nowa sztuka

dlu zagranicznego, który przegrał ze swoim kontrkandydatem, również członkiem ZKJ, różnicą 30 tysięcy głosów.

■ W Danii przybiera na siłę dyskusja na temat, czy dalsze istnienie NATO jest potrzebne, oraz czy Dania ma pozostać w tej organizacji po 1969 roku. Centralny organ socjaldemokracji „Aktuel” zamieścił wypowiedzi przedstawicieli 6 czołowych duńskich partii politycznych w powyższej sprawie. Wspólnym elementem tych wypo-



— Czy można pana prezydenta zapytać jak zdrowie? (The Observer)

ka Hochhutha „Żołnierze” nie nadaje się do wystawienia na scenie subsydiowanego przez państwo teatru ze względów politycznych. Głównym tematem sztuki Hochhutha są alianckie bombardowania ludności cywilnej w miastach niemieckich, a przede wszystkim dywanowe naloży na Drezno, które zdaniem wielu historyków drugiej wojny światowej, nie miały uzasadnienia wojskowego. W sztuce niedowładnie wyrażona jest sugestia, że katastrofa lotnicza w Gibraltarze, w czasie której zginął gen. Sikorski, była zaplanowana przez wywiad brytyjski z polecenia lorda Cherwella, bliskiego współpracownika Churchilla.

■ W Hawanie zakończono rokowania z firmą brytyjską „Simon-Carves Ltd.” w sprawie budowy na Kubie dużej fabryki nawozów sztucznych. Mówi się, że firma ta zainteresowana jest w dalszym rozwijaniu transakcji z Kubą.

■ Z dniem 24 kwietnia obniżone zostały w Rumunii ceny detaliczne niektórych artykułów spożywczych, metalowych, elektrotechnicznych, wyrobów z drzewa, artykułów włókienniczych i obuwiu, a także niektórych artykułów gospodarstwa domowego. Obniżka cen obejmuje około 600 rodzajów towaru.

■ W czasie wyborów powszechnych w Jugosławii wybrano 60 posłów do Izby Związkowej Zgromadzenia Narodowego, tj. pełną liczbę wakuujących mandatów. Agencja prasowa zwraca uwagę na fakt, iż mandatu nie uzyskał dotychczasowy minister han-

wie — stwierdza pismo — było przekonanie, że NATO potrzebne jest przede wszystkim, jako organ kontroli nad Niemcami zachodnimi.

■ Senat amerykański ratyfikował jednomyślnie układ kosmiczny zawierający zakaz umieszczania broni jądrowej w przestrzeni międzyplanetarnej. Ratyfikowanie tego układu uważa się w Stanach Zjednoczonych za najważniejsze posunięcie w dziedzinie ograniczenia zbrojeń od czasu zawarcia układu o częściowym zakazie doświadczeń jądrowych w roku 1963.

■ W Waszyngtonie mówi się o wysłaniu do Wietnamu południowego dodatkowego kontyngentu wojsk w liczbie 100 tysięcy żołnierzy.

■ Siedmiu brazylijskich policjantów postanowiło radykalnie rozwiązać problem bezrobocia w Rio de Janeiro, a mianowicie poprzez wywiezienie żebraków z miasta potopienie w rzecę. Gdy wieść się o tym rozszalała żebracy pojawili się na ulicach z kielichami ratunkowymi.

■ Radziecki miesięcznik „Sputnik” podaje, że w 1964 roku Japonia wysunęła się na drugie miejsce w handlu ZSRR z uprzemysłowionymi krajami kapitalistycznymi (w 1961 roku zajmowała siódme miejsce). Związek Radziecki pod względem wolumenu dostaw zajmował w 1961 roku dwunaste miejsce wśród partnerów Japonii, w 1964 wysunął się na piąte miejsce po USA, Kanadzie, Australii i Filipinach.



Trzecia ofiara (Der Spiegel)

Pani Curie



W setną rocznicę urodzin najwybitniejszej polskiej uczonej, **MARI SKŁODOWSKIEJ-CURIE**, współtwórczyni nauki o promieniotwórczości, dwukrotnej laureatki nagrody Nobla (w 1903 roku — wspólnie z mężem za odkrycie polonu i radu oraz w 1911 roku za badania nad radem) zwracamy się z prośbą o wspomnienia o niej do prof. dr **ALICJI DORABIAŁSKIEJ**, która przez trzy lata pracowała w Instytucie Radowym w Paryżu, kierowanym przez Marię Curie. Uczennica genialnej Polki jest zasłużonym badaczem naukowym i dydaktykiem. W uznaniu osiągnięć w jednej i drugiej dziedzinie odznaczona została Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Nagrodą Naukową m. Łodzi. Prof. dr Alicja Dorabiała kieruje Katedrą Chemii Fizycznej Politechniki Łódzkiej. A oto jej wspomnienia:

Panią Curie poznałam osobiście w roku 1925. Przyjechała wtedy do Polski, aby wziąć udział w uroczystości położenia kamienia węgielnego pod Instytut Radowy w Warszawie. Zostałam jej przedstawiona i wówczas właśnie zapadła decyzja o moim wyjeździe do Paryża, do Instytutu Radowego. Pobyt mój w stolicy Francji to lata 1925—1926 i 1929.

Paryż... Druga ojczyzna Marii Skłodowskiej. Wielki umysł miała Pani Curie, ale i serce wielkie. Nigdy nie zabrakło w nim miejsca dla kraju, w którym się urodziła, nigdy nie przestała czuć się Polką. Nic dziwnego zresztą. Wychowana była na tradycjach popowstańców, w atmosferze umiłowania ojczyzny i marzeń o wolności. Ale największą jej pasją było zdobywanie wiedzy. Ukończyła szkołę w 1882 roku, a więc mając zaledwie piętnaście lat, z wynikiem celującym i złotym medalem. Na wyjazd do Paryża musiała jednak czekać jeszcze przez długie dziewięć lat. Obie Skłodowskie: Maria i jej starsza siostra Bronisława (później dr Dłuska) postanowiły za wszelką cenę, wbrew wszystkim przeciwnościom, wyjechać na studia do Francji. Najpierw polecała Bronisława, a potem, w 1891 r. 24-letnia Maria. Nie przypuszczała wtedy, że zostanie tam na zawsze...

Piotr Curie pochodził ze starej, francuskiej rodziny. Był człowiekiem poważnym i twierdził, że nigdy się nie ożeni. Bez reszty bowiem poświęcił się badaniom naukowym. Żadna kobieta — sadził — nie potrafi tego zrozumieć. Kimkolwiek byłaby, zawsze przeszkadzałaby mi w pracy — mniemał. Życie pokazało jak bardzo pomylił się w swych sadach. Maria Skłodowska była dla niego ogromnym zaskoczeniem. I właśnie jej pasja badawcza, jej pracowitość zdecydowały, że postanowił poprosić, by została towarzyszką jego życia.

Maria Skłodowska nie zamierzała pozostać w Paryżu. Ukończyła studia

w 1894 r. i wróciła do kraju, żywiąc nadzieję, że uda się jej prowadzić prace badawcze w Krakowie. Ale nasza Alma Mater nie chciała, czy też nie mogła się zgodzić, aby do grona jej naukowców włączyć... kobietę. Maria Skłodowska zdecydowała się więc wrócić do Paryża. Wyjechała w 1895 r. i poślubiła Piotra Curie. Prawnie stała się więc Francuzką. Ale prawo i serce, przepisy i sprawa poczucia narodowego — to dwie różne rzeczy. I kiedy państwo Curie — twórcy światowej nauki o promieniotwórczości odkryli w 1898 r. pierwiastek promieniotwórczy, „na cześć kraju jednego z nas” nazwali go polonem.

Pamięć o Polsce Pani Curie wyrażała się także i w tym, że w kierowanym przez nią Instytucie Radowym zawsze pracowali Polacy. Ściągała ich do Paryża. Polska nauka o promieniotwórczości — jej zawdzięcza właściwie swe powstanie i egzystencję. Po polsku i w Polsce drukowała także swoje prace. Była kierownikiem honorowym i sprawowała opiekę nad Pracownią Radiologiczną Towarzystwa Naukowego Warszawskiego im. Mirosława Kernbauma. Mirosław Kernbaum, który zakończył życie samobójstwem, był uczniem Pani Curie. Po tragedii tej, dla uczczenia pamięci syna, Kernbaum-senior ufundował w Warszawie w 1912 r. Pracownię Radiologiczną jego imienia.

Pani Curie kochała Polskę, a Polacy czcili i szanowali swoją genialną uczoną. I kiedy zbliżało się 25-lecie odkrycia polonu, społeczeństwo polskie postanowiło uświetnić tę rocz-

nicę specjalnym darem. Misją zorientowania się, co Pani Curie najbardziej chciałaby otrzymać, obarczona została dr Bronisława Dłuska. Gdy zapytała o to swą sławną siostrę, padła odpowiedź: „Moim najgorętszym marzeniem jest powstanie Instytutu Radowego w Warszawie”. Tak się właśnie zaczęło... Potem były „cegielki” — specjalnie na ten cel sprzedawane pocztówki. Wreszcie — zebrano fundusze, w 1925 r. położono uroczyste kamień węgielny, a w 1932 r. nastąpiło otwarcie Instytutu Radowego w Warszawie (przy ul. Wawelskiej 15). Pani Curie miała w nim pokój zarzewowy tylko dla siebie, na okresy przyjazdów do kraju.

Maria Skłodowska-Curie zawsze żywo interesowała się wydarzeniami w kraju. Pamiętam — w 1926 r. kiedy w Polsce dokonał się przewrót majowy codziennie zanosilaam jej, zgodnie z życzeniem, nowy numer „Robotnika”, który wtedy przysyłał mi do Paryża...

Kiedy Pani Curie pisała coś po polsku, zdarzało się, że zabrakło jej jakiegos słowa. Ileż to razy przychodziłam jej wtedy z pomocą! Poliszczyna Pani Curie była trochę starszowiecka, mówiła tak, jak mówiło się u nas 100 lat temu...

Podczas pobytu we Francji, wybrałam się w 1926 r. do Fabryki Radu w Gif pod Paryżem. Na stacji kolejowej czekał chłopaczek, który zaprowadził mnie do fabryki. Przychoǳe do dyrektora, patrze — kobieta. Przedstawiają mi kierownika

produkcji — kobietę. Kierownika laboratorium — kobietę. Gdzie się obróce — same kobiety. Mieszkańcom kraju nadsekanowskiego obca jest nasza polska gościnność. U nas honoruje się wielce przybyszów z zagranicy, darzy specjalnymi względami, często zaspjuje pochlebstwami. Tam — nie, Francuz nie zaprasza do swego domu obcokrajowca. Nigdy nie zapomina, że to właśnie ktoś obcy, Francuzi nie mogli wybaczyć Pani Curie tego, że była Polką. Że żadna Francuzka nie dokonała tak wiele na polu nauki, nie zdobyła takiej sławy, jak ona. Wielka Maria Curie narazona była we Francji na różne przykrości. I właśnie dlatego, żeby zaszczęǳić ich swoim córkom, świadomie wychowywała Irenę i Ewę na Francuzki.

— Ach! Proszę pani — dodaje z westchnieniem pani dyrektor — żałuję, że nie jestem Polką.
— Dlaczego? — pytam zdumiona.
— Może wtedy byłoby mi łatwiej. Wy — Polki, jesteście takie dzielne, tak umiecie pokonywać przeszkody.
— A ile pani zna Polek?
— Marię Curie i panią! — pada rozbrajająca odpowiedź.

Niech ta anegdota nie przesłoni prawdy o stosunku Francuzów do naszej wielkiej uczoney. Mieszkańcom kraju nadsekanowskiego obca jest nasza polska gościnność. U nas honoruje się wielce przybyszów z zagranicy, darzy specjalnymi względami, często zaspjuje pochlebstwami. Tam — nie, Francuz nie zaprasza do swego domu obcokrajowca. Nigdy nie zapomina, że to właśnie ktoś obcy, Francuzi nie mogli wybaczyć Pani Curie tego, że była Polką. Że żadna Francuzka nie dokonała tak wiele na polu nauki, nie zdobyła takiej sławy, jak ona. Wielka Maria Curie narazona była we Francji na różne przykrości. I właśnie dlatego, żeby zaszczęǳić ich swoim córkom, świadomie wychowywała Irenę i Ewę na Francuzki.

A przecież mimo to, obie Curie: Ewa i Irena zarazone były w pewnej mierze „bakcyłem” polskości. Może więcej Ewa niż Irena... Ale sam Fryderyk Joliot — mąż Ireny mawiał: „Jestem pierwiastkiem kwadratowym z Polaka, bo ożeniłem się z kawałkiem Polki”. Kiedy ostatni raz widziałam się z Ireną Joliot-Curie, mówiła mi, że właśnie przeczytała po polsku trylogię Sienkiewicza i zachwyciła się szczerze tym dziełem.
— Możłabym rozmawiać z pania per „waćpani” i „waćpanna” — twierdziła.

Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, w Marii Skłodowskiej-Curie odezwał się duch rycerski. I choć nie z bronią, postanowiła wziąć udział w walce. Wyruszyła w roku 1914 na front wozem radiologicznym (którym notabene przewiozła swój inwentarz do Instytutu Radowego w 1915 roku). Pomagała jej tylko 16-letnia wówczas córka Irena. Docierały tam nawet, gdzie wojskowych wozów nie było. Tysiącom ludzi uratowały życie.

Alle najlepiej czuła się Maria Curie w swoim laboratorium, przy pracy. Jeśli odpoczywała, unikała ludzi. Kochała przyrodę, ale w samotności, bez ludzkiego gwaru. Lubiała Zakopane, do którego przyjeżdżała z mężem, a po jego śmierci — z córkami. Państwo Dłuscy prowadzili tam przecież ogólnie znane sanatorium. Tak — tylko w sanatorium lub w kontakcie z naturą czuła się dobrze Pani Curie — największa uczona naszych czasów, związana warsztatem pracy, osiągnięciami i kolejami życia z Francją, a przecież z pochodzenia i wychowania — Polka, s e r c e m wracająca zawsze do swojej ojczyzny...

Notowała: EWA SIEMIŃSKA

Nożycami przez PRASĘ

KŁOPOTY ZASADNICZE

Dotyczą przyrostu ludności. W „Tygodniku Kulturalnym” znajdujemy przemówienie marszałka Sejmu, Czesława Wycecha, wygłoszone na zjeździe powiatowym ZSL w Opatowie. Najpierw trochę statystyki: „Polska należy do grupy paru krajów europejskich o największym przyroście naturalnym. Ludność Polski w latach 1960—1980 powiększy się o 7,8 mln osób, a więc przyrost będzie dwa razy większy niż przyrost ludności w tym okresie w takich krajach, jak np. NRF, W. Brytania, Rumunia lub Jugosławia...”

„Ludność naszego kraju wynosiła w 1966 r. 31,8 mln, w 1970 r. dojdzie do 33,4 mln; w 1975 r. — 35,5 mln; w 1980 r. — 37,6 mln, w 1985 r. — 39,6 mln.

A perspektywy?

Gwałtowny przyrost ludności w wieku produkcyjnym w najbliższym dziesięcioleciu, a w szczególności szybki przyrost młodzieży w wieku 16—18 lat, stawia przed państwem wiele zwiększonych i kosztownych zadań, których realizacja zapewni dorastającej młodzieży zdobycie wykształcenia i zawodu, da pracę w nowych i rozwijających zakładach pracy, zapewni młodym małżeństwom nowe mieszkania itd. Szybki przyrost ludności podlega za sobą wzrost wydatków inwestycyjnych i okresowy, po wolniejszy wzrost części dochodu narodowego, przeznaczanego na spożycie.

DYSKUSJA O MŁODEJ PROZIE I POEZJI

Nie pierwsza i nie ostatnia. Wrocławski miesięcznik „Odra” rozpoczął cały

cykl wypowiedzi na temat naszej najmłodszej literatury. Lesław M. Bartelski poświęca swoją uwagę przede wszystkim prozie. Rzecz zaczyna się od ustalenia, kto jest młodym pisarzem? Bartelski umownie wyznacza granicę trzyletniej, a więc chodzi o urodzonych w roku 1936 i później.

Skoro Bartelski szuka usprawiedliwienia dla sytuacji, tzn. iż nie jest za dobrze, Istotnie, jeśli przyzmnieć, że przed wojną nagrodę młodych Polskiej Akademii Literatury, a brano pod uwagę właśnie ludzi przed trzydziestką, przysłał Michałowi Chorońskiemu („Zazdrość i medycyna”), Jalu Kurkowi („Grupa szaleje w Naprawie”), Stanisławowi Pietałkowi („Młodość Jasła Kufel”), Światopełkowi Karpińskiemu (nagroda za wiersze, która budziła nadzieję na więcej sprzeciwów), jeśli przypomnieć, że Zbigniew Unłowski zmarł w 28 roku życia, to dyskusja, zwłaszcza na temat młodej prozy, nie może mieć zbyt optymistycznego wydźwięku. Ale w tych sprawach nie wolno się zrywać i niecierpliwić, na pociechę zaś od

razu przypomnijmy, że taki np. Andrzej Brycht urodził się w 1935 roku, czyli bez trudu da się go zaliczyć do młodych.

Bartelski bez zastanowienia powtarza, że „sa to roczniki bez biografii”. Absurd! Większy nawet, niż efektowne nazywanie w swoim czasie ludzi typu Hemingwaya „pokoleniem straconym”. Nie ma ludzi bez biografii, może ona natomiast być dramatyczna, może być s e n s a c j o n a, może być bogatsza w fakty lub uboższa, w omawianym wypadku trop prowadziłby gdzieś indziej: młodzi przeszli przez szkoły w duchu stalinowskim, które jak gdyby wykorzystywały żywych związków z przeszłością, redukując ją do niewielu spraw. Kto więc, może mówienie o tym byłoby owocniejsze. Mówienie o swobodzie abstrahowania od formacji. Kto inny złożyłby opis o pokoleniu bez encyklopedii. Rzeczywiście, donioło dorabiamy się pierwszej encyklopedii. To też jakiś trop choć niedaleko prowadzący — zawsze dla zainteresowanych otworem stały biblioteki.

A teraz oddajmy głos Bartelskiemu:

Młoda proza w ostatnich latach musiała się zmagać z dwoma „przeciwnikami” — Hłaską oraz „filozofią spod budki z piwem”. Hłaska dawał wzorce sentymentalizmu, pod pozórami „mocnego człowieka” ukazywał „przeróżny wprost romantyzm, którego ideał sięgał błota. To, co u Marka Hłaski, bez względu na jego postawę ideową, było jednak nowością, u jego naśladowców stało się nieznosną manierą. Ostatnim tego pogląsem, ale już opartym o rzeczywistość własne doświadczenia, jest „Dancing w kwatery Hitlera” Andrzeja Brychta. Powiódł on cały schemat, stosowany zresztą z powodzeniem przez Hłaskę, ale dał własne, autentyczne komponenty utworu. Umiał wyrazić postawy dramatyczne młodych ludzi, ich szamotaninę się wewnętrzną, ich własne i niefałszowane konflikty.

Bartelski kończy przypomnieniem jakże ważnej roli doświadczenia. Ale doświadczenie także nie wyczerpuje sprawy, i stać konkluzja, pod którą można w razie czego oburzać się podbić.

Doświadczenie i wyobraź-

nia wspierają się wzajemnie. Nie można poprzestąć jedynie na doświadczeniu, bo powstałe wtenczas tylko literaturę „pamiętnikarską, nie można zaufać wyobraźni, gdyż fikcja nie będzie miała potężniejszego w rzeczywistości historycznej. Wyrazić siebie i swój czas tak, aby to każdy przyjął jako swoje widzenie świata, wydaje mi się szansą każdego z piszących, szansą idącego pokolenia.

POSUCHA W KWIETNIU

Ktoś gotów zawołać, że tegoroczny kwiecień był wyjątkowo dżdżysty. Niby prawda, a jednak... Numer „Siołek” z 23. IV, z powodu El Greca w Kosowie Lackim przyniósł aż dwie kolumny fotomontaży, rysunek satyryczny, wiersz i parę dowcipów. I w kwietniu wleć mieliśmy w Polsce miłość, dotknięte posuchą wręcz katastrofą.

MARGINESY

W tygodniku studenckim „Politechnik” (Politechnika Warszawska) tym razem zaciekały nas raczej

sprawy marginesowe. W „Lisicie z Łodzi” kol. Jannina Hoffman ostro występuje przeciwko zlikwidowaniu piwa w sklepiku na terenie osiedla akademickiego PL. Oczywiście, nie wiemy czy chodzi o piwo ciemne czy dubeltowe? Jednak zaskakuje nas kobieta, tak zawzięcie broniąca piwa. Chyba, że nazwisko znajdujące się pod listem jest pseudonimem.

Z innych kłopotów studenckich warto odnotować sprawę konkubinat. Jak wygląda w wypadku zerwania roszczenie prawne w stosunku do wspólnego majątku?

Współżycie kobiety z mę-

JAN OLECHNO

Cywilizacja wypoczynku

MÓWIĄ: wiek techniki, maszyn matematycznych sterowanych przez człowieka i zastępujących człowieka robotów;

ZAPOWIADAJĄ: 5-dniowy tydzień pracy. Już wkrótce m.in. w ZSRR ponad 82 proc. wszystkich zatrudnionych pracować będzie tylko 5 dni w tygodniu;

STWIERDZAJĄ: człowiek wkroczył w początek ery „cywilizacji wypoczynku”.

115 milionów turystów znalazło się w roku 1965 na trasach wędrowek i w miejscach wypoczynku zarejestrowanych przez Międzynarodową Unię Oficjalnych Organizacji Turystycznych. przy czym jest to liczba bardzo orientacyjna, gdyż wiele krajów nie prowadzi statystyki turystów przekraczających ich granice, a opiera swoje wyliczenia tylko na podstawie zgłoszeń dokonanych w hotelach.

115 milionów. Oznacza to dalszy szybki wzrost kontaktów i wymiany. tej właśnie formy WYPOCZYNKU; w roku 1964. kroniki Międzynarodowej Unii odnotowały 107 mln współczesnych wędrowników.

Cywilizacja wypoczynku i jedna z jej cech — turystyka.

Warto bliżej się przyjrzeć temu nowemu bożkowi, który obywatela XX wieku zamienia we współczesnego nomada, przywrócić się temu zjawisku i to nie ze względu na modę czy uroczyscie „obecniny” i przyznany AD 1967 tytuł Międzynarodowego Roku Turystycznego.

— Nowa wędrowka narodów — mówią.

— Cywilizacja namiotu i kochera — stwierdzają.

— Fenomen socjologiczny i gospodarczy — przekonują inni.

Turystyka to WIELKI BUSINESS.

Interes?

Mówią fakty i liczby: około 11,6 miliarda dolarów wyniosły wpływy, jakie z ruchu turystycznego odnotowały w roku 1965 kraje należące do Międzynarodowej Unii Oficjalnych Organizacji Turystycznych. Z tej kwoty na państwa europejskie przypadało około 7 mln dolarów, 1,9 miliarda uzyskały w tym samym okresie USA i Kanada, a z krajów pozostałych kontynentów największym magnesem, jak się okazuje, jest dla turystów Japonia: wpływy — 71 mln dolarów.

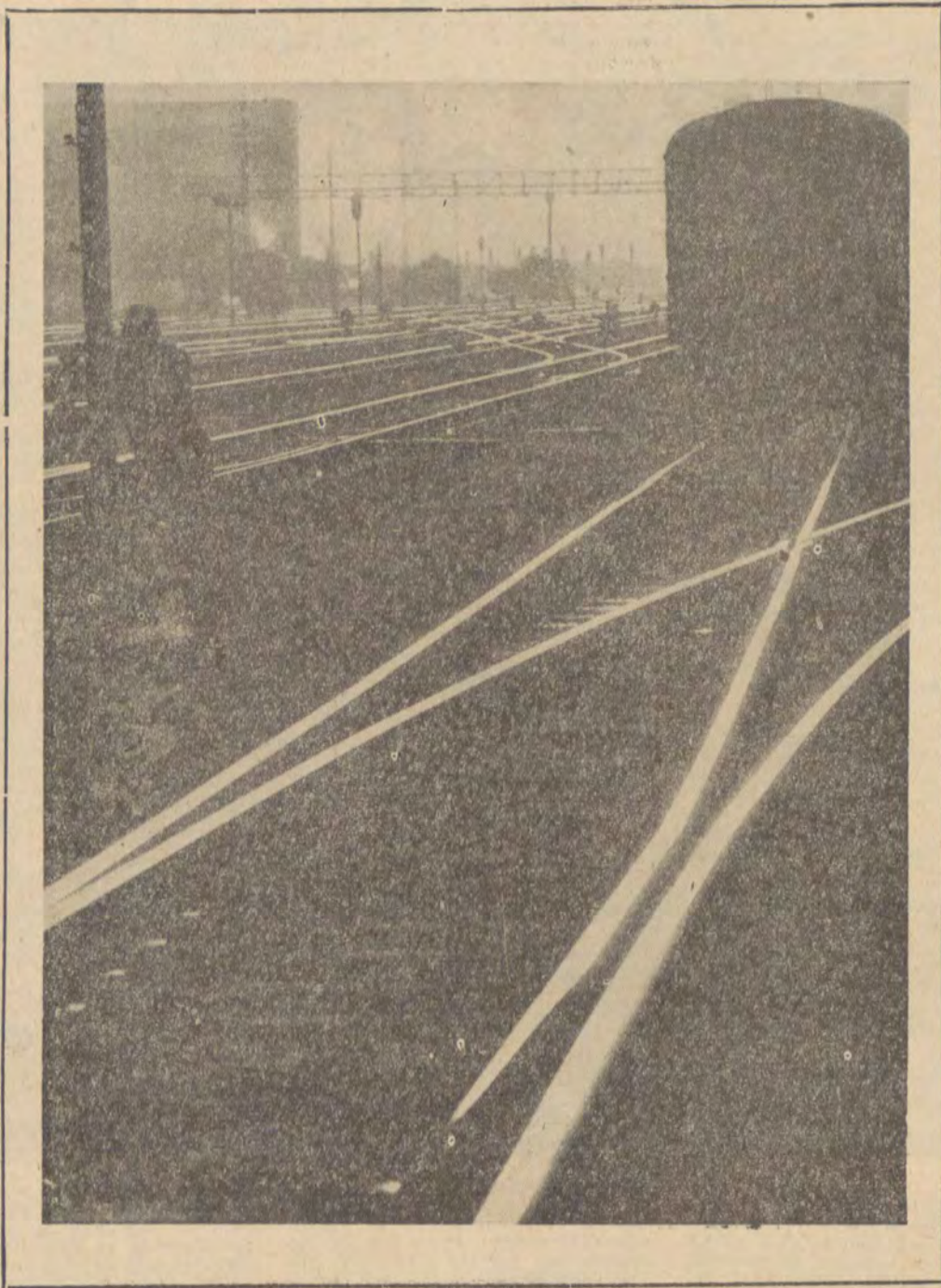
BUSINESS.

Wiec się zarabia, ale także wydaje. Czasami — jak to czynia mniej lub bardziej jawnie Austria, Włochy, Francja i Szwajcaria — na urządzenie szczególnie atrakcyjnych imprez np. narciarskich z udziałem członków tzw. „alpejskiego cyrku”, albo też stwarzania dodatkowych bodźców materialnych kierujących ów złotodajny strumień turystów w odpowiednim kierunku.

ZA KAŻDY DZIEŃ BEZ SŁOŃCA — O POŁOWE NIŻSZE CENY W HOTELU!

TYLKO U NAS — PEWNY URLOP. ZWRACAMY KOSZTY ZA... DESZCZ!

Reklama. Rozmowa czy walka? Różnobarwne, wszędzie natrętne foldery, fascynująca literatura. Public relations.



Jakby to nazwać? Robienie atmosfery, opinii, działanie na podświadomość?

Business. WIELKI INTERES.

Notowania jak na giełdzie. Międzynarodowy Fundusz Walutowy — jedna z agend ONZ podała ostatnio najnowsze dane z turystycznego frontu:

Włochy	— 1 miliard dolarów
Hiszpania	— 900 milionów dolarów
Francja	— 750 „ „ „
NRF	— 700 „ „ „
Austria	— 650 „ „ „
Szwajcaria	— 600 „ „ „
Jugosławia	— 100 „ „ „

Dochody turystycznych potentatów.

No dobrze, a gdzie my? (PS. — to pytanie nie ma nic wspólnego z klasycznym problemem pt. „Słoń a sprawa polska”). Robimy, robimy co nieco, ale: zacytujemy słowa „urzędowe”, tzn. „Orbisu”. W roku 1966 uzyskaliśmy od zagranicznych turystów około 5 mln dolarów. Mamy nadzieję w taki właśnie sposób zarobić około 14 mln dolarów, ale... w okolicach roku 1970. Łza się w oku kręci..

Dochody, zyski.

Są i wydatki. Wcale niemałe, co w pewnym stopniu usprawiedliwia kleszczowy poród naszej turystyki zagranicznej, a może raczej polowania na — jak twierdzą ekonomiści — NAJSZYBSZE DEWIZY.

Włochy oferują turystom około 1 mln miejsc noclegowych w hotelach i ponad 1,2

mln takich samych miejsc w schroniskach i wynajętych pokojach gościnnych. Austria (7,2 mln mieszkańców) posiada bazę noclegową dla turystów liczącą około 350 tys. łóżek. Wszystko w hotelach i wynajętych pokojach.

To tylko dwa wybrane przykłady.

Dla przypomnienia: w Polsce mamy obecnie około 35 tys. miejsc hotelowych. Zarabia się i wydaje.

Bo turystyka dawno przestała być prywatnym hobby, a z roku na rok przybiera coraz wyraźniejsze kształty ogólnostanowiska BUSINESSU.

Wydaje się zresztą także z myślą o przyszłości. Ile?

W roku 1965 świat wydał na różnego rodzaju cele związane z turystyką krajową i zagraniczną około 57,3 miliarda dolarów, przy czym w te liczby nie włączono wydatków na rozwój i organizację transportu turystycznego, który zdaniem speców, powiększa te sumy o około 30 proc.

Wydaje się. Zarabia się.

Nie dajmy się jednak zwariować finansistom. Wierzymy, że obliczyli i wszystko akuratanie zaksiegowali.

Wiec co — nie ma już o czym mówić? Turystyka zniewolona przez liczby? Ejże?

Socjologowie na spółkę z ekonomistami i statystykami nie powiedzieli wprawdzie

ostatniego słowa, ale co do wielu spraw mają już od dawna wyrobiony pogląd.

FAKT PIERWSZY: wiele krajów szczególnie zainteresowanych rozwojem turystyki zagranicznej sygnalizuje pojawienie się nowej odmiany — turystyki weekendowej. Z reguły obejmuje ona terytory przygraniczne a czas jednego wypadu turystycznego nie przekracza 24 godzin.

FAKT DRUGI: stała tendencja do obniżania kosztów ponoszonych przez pojedynczego turystę na wydatki związane z wycieczką czy wyjazdem. Tak np. Skandynawowie obliczyli, że w roku 1966 średnio biorąc 1 turysta wydawał około 8 dolarów dziennie, co oznacza zmniejszenie kosztów o około 30 proc.

Tendencje i fakty. Są jeszcze inne. Posługujemy się tutaj materiałami zgromadzonymi tak przez wyspecjalizowane agendy Organizacji Narodów Zjednoczonych, Międzynarodową Unię Oficjalnych Organizacji Turystycznych tak również dane, które ostatnio były szeroko komentowane przez francuski tygodnik „Perspectives”.

Cechy „cywilizacji wypoczynku”.

Turystyka coraz częściej przestaje być zjawiskiem okazjonalnym w życiu przeciętnej rodziny, a staje się formą stałego spędzenia wolnego czasu, rozrywki, a nawet zdobywania wiedzy. Ten sam francuski tygodnik przeprowadził specjalną ankietę wśród około 10 tys. Francuzów, którzy w r. 1966 wyjeżdżali poza granice swojego kraju. Chodziło o stwierdzenie powodów tych właśnie „peregrynacji”.

Wyniki są zaskakujące:

Blisko 80 proc. ankietowanych odpowiedziało: „wyjeżdżam za granicę dla spędzenia wakacji, na wypoczynek, na wycieczkę”. Na dalszych miejscach znalazły się wyjazdy służbowe, naukowe oraz za „interesai”.

Jak to jest w Polsce?

Nie dysponujemy, niestety, najfajniejszymi danymi, ale chyba liczby odnoszące się do roku 1965 także pokazują zjawisko, a przede wszystkim tendencje zachodzące w naszej turystyce zagranicznej i krajowej. Weźmy pod uwagę tylko wyjazdy zagraniczne.

Ogółem wyjechało z kraju 557.292 osoby.

Z tego w celach turystycznych 158.586 osób, w tym do krajów socjalistycznych 152.365 osób.

Dokład statystyczny Polak wyjeżdża na wojazę zagraniczne? Kolejno biorąc: NRD, ZSRR, CSRS.

W tym samym roku 1965 do krajów kapitalistycznych w celach turystycznych wyjechało 6.218 obywateli PRL, a głównymi kierunkami były: Francja, NRF, Anglia, USA (1 osoba).

Mimo wszelkich dysproporcji i różnic także i u nas w kraju występują podobne zjawiska jak i w innych państwach objętych turystyczną „infekcją”. Dotyczy to np. turystyki o charakterze weekendowym. Tutaj znowu liczby odnoszące się do Polski. W roku 1964 i 65 na obszar konwencyjny do Czechosłowacji (ten ruch jest objęty odrębnymi statystykami) wyjechało na wycieczki nie przekraczające 48 godzin 221 tys. obywateli naszego kraju...

Turystyka stale się więc dziedzina dostępną niemal dla wszystkich.

* * *

Są jeszcze inne sprawy, które coraz częściej dają o sobie znać, gdy bierze się pod „lupe” to zjawisko tak mocno łączące się z erą cywilizacji wypoczynku. Choćby INTERWENCJONIZM.

Nie starczą już zasoby i środki finansowe prywatnych osób, a nawet całych organizacji. Na turystyczną arenę wkracza więc państwo. Czynia to tak wielcy potentaci jak i małuczy w turystyce. W roku 1964 rządy Hiszpanii i Włoch zaінwestowały w turystykę po około 165 mln dolarów, a wartości państwowych inwestycji w Jugosławii w tymże czasie wyniosła 64 mln dolarów. Pożyczki udzielone przez instytucje rządowe przemysłowi hotelarskiemu NRF i Austrii były nieco mniejsze w roku 1965, ale także wahały się w granicach 90—100 mln dolarów.

JAN KOPROWSKI

KARTKI z podróży

WIECZORY TEATRALNE

W czasie pobytu w Moskwie i Leningradzie każdego wieczoru zsiłszy do teatru. Widzieliśmy wiele, ale nie wszystkie przedstawienia z jednokową siłą zapisały się w

naszej pamięci. Toteż nie o wszystkich będzie tu mowa.

Na sztukę Leonida Zorina „Warszawska melodia”, grana w Teatrze im. Wachtangowa, wybierałem się ze zrozumiałym zainteresowaniem. Jest to

dramat liryczny, oparty na motywach polskich, cieszący się wśród moskwičan dużym powodzeniem, który — jak nas poinformowano — miał bardzo dobre recenzje we wszystkich piśmie i uchodził za swoisty szlagier sezonu. Zorin podjął się rzeczy trudnej: przez dwie i pół godziny występują na scenie dwie osoby — Polka Helena, początkowo studentka konserwatorium w Moskwie, później znana warszawska śpiewaczka, i Wiktor, Rosjanin, degustator win. Akcja sztuki rozpoczyna się w momencie, gdy tych dwoje nieznanych sobie ludzi spotyka się przypadkowo na koncercie muzyki Chopina w Moskwie. Banalna rozmowa, stopniowy przypływ uczucia sympatii, umówione spotkanie, miłość. Pewnego zimowego dnia 1947 roku Wiktor oświadcza się Helenie, ale tu właśnie nastąpi prawdziwy dramat. Oto w tymże samym dniu ukazało się rozporządzenie, zabraniające Rosjanom i Rosjankom wchodzić w związki małżeńskie z cudzoziemcami. Rozłąka zakochanych. He-

lena kończy studia i wyjeżdża do kraju. Po latach spotykają się znowu, tym razem w Warszawie, a potem jeszcze raz w Moskwie, dokąd Helena przyjeżdża na występ gościnny jako znana śpiewaczka estradowa. Ustawa z r. 1947 nie istnieje, nie stoi na przeszkodzie, aby się teraz pobrali. Niestety, za późno: on ma swoje życie, ona swoje, i chociaż miłość ich jeszcze nie wygasta, wiązać się z sobą nie mogą.

Tak, w grubym zarysie, przedstawia się akcja sztuki Zorina, który notabene wykazał dużą znajomość realiów i topografii Warszawy. Słyszmy w jego sztuce piosenkę w wykonaniu Juliana Sztatlara „Wio, koniku”, Helena śpiewa po polsku „Złoty pierścinek”, a pierwszy akt sztuki odbywa się przez cały czas na tle pięknej muzyki chopinowskiej. Wykonawcami ról są: znana i utalentowana aktorka Borisowa (Helena) i również znany i utalentowany Ułjanow (Wiktor), inscenizacyjnie i reżyser-

sco opracował całość Ruben Simonow. Mimo, iż mnie i moim kolegom sztuka się podobała, mieliśmy wiele rozmaitych uwag, jeśli chodzi o postać Heleny. Przedstawia ona typ Polki, bioracej życie lekko, pełnej wdzięku, ale i lekkomyślnej, kochliwej (niedługoż sztuki ma już bodaj trzeciego męża), mówiącej po rosyjsku z dziwnym akcentem, co może nie byłoby złe, gdyby nie fakt, że dzieje się tak przez wszystkie akty przedstawienia i uwagę widza absorbuje niepotrzebnie sposob jej mówienia, ze szkoda dla spraw w utworze istotniejszych. Oczywiście trudno byłoby mi powiedzieć, ile jest w tym winy samego autora, a ile reżysera. Myślę jednak, że bardziej na roli zaciążył reżyser, niż pisarz. Borisowa jest aktorka wybitna, do tego urodziwa, gdyby „postać” jej rolę trochę inaczej, stałoby się to z korzyścią dla sztuki. Z pewnością widza moskiewski nie widzi tego tak ostro, jak przybył z Polski. Widza moskiewskiego historia ta bawi i wzrusza, daje też

sporo do myślenia o problemach należących — na szczególne — do przeszłości. I zapewne „Warszawska melodia” zawiadza swoje powodzenie temu, że mówi o sprawach najbardziej ludzkich, takich jak miłość i rozłąka.

* * *

Wszelako najsilniejszy przeżył teatralnych dostarczyć mi adaptację z Dostojewskiego. W moskiewskim Mchacie widziałem „Braci Karamazow”, a w Akademickim Teatrze Dramatycznym im. Gorkiego w Leningradzie — „Idiotę” ze Smokutunowskim w roli głównej. Dostojewski przeżywa obecnie prawdziwy renesans w Europie. Przeraża się jego powieści na scenę, tworzy się według nich nowe filmy, historycy literatury ogłaszają monografie, poświęcone jego życiu i twórczości. Dla czytelników dzieł Dostojewskiego, a cóż dopiero dla jego entuzjastów (uwzględnięcie siebie za jednego z nich) —

Państwo wkracza zresztą również w jeszcze inne dziedziny, aniżeli finanse i tak np. władze belgijskie są zadowolone z rezultatów specjalnej kampanii pod hasłem „Wakacje w czerwcu”, która to akcja przyniosła wydłużenie sezonu turystycznego na miesiąc dawniej charakteryzujący się mniejszą liczbą wyjazdów. We Francji i w Wielkiej Brytanii przeprowadzono ostatnio specjalne badania nad właściwym rozłożeniem ustawowych okresów wypoczynku tak, by doprowadzić do swoistej „deglomeracji” świat oraz okresów wakacyjnych. We Francji kontynuowana jest obecnie kampania perswazji, której towarzyszy ogromna reklama obejmująca tak klientów — turystów, jak i pracodawców i hotelarzy. Ma ona doprowadzić do uzyskania specjalnych ulg dla tych, którzy podejmą wyjazdy zagraniczne lub krajowe w tzw. martwym sezonie turystycznym. Prononuje się obniżenie podatków dla hotelarzy w tym właśnie okresie, a pracodawcom sugeruje się przedłużenie o jeden dzień urlopu w przypadku gdyby zatrudniony zechciał zaplanować swój okres wypoczynku w miesiącach od końca sierpnia do początku czerwca. W Austrii władze szkolne rozpatrują projekt zróżnicowania wakacji dla młodzieży i dzieci między wschodnimi i zachodnimi regionami kraju. Dla poprawienia efektywności urzędów turystycznych zaczęto nawet próbować zmieniać tradycje religijne i tak np. przemysł turystyczny — bo o takim można już mówić — w wielu krajach proponuje ustalenie stałych dat dla dotychczas ruchomych świąt religijnych np. Wielkanocy, Wniebowstąpienia czy Zielonych Świąt. Zgromadzenie Ogólne Kościoła Anglikańskiego zaakceptowało już takie propozycje.

W Polsce mamy do czynienia z takim samym zjawiskiem i prawda jest, że przeciętny, statystyczny „Kowalski” stara się wyznaczyć swój urlop wiać się często z wyjazdem turystycznym na okresy letnie. W ciągu trzech miesięcy — od połowy czerwca do połowy września 2/3 osób zatrudnionych w przemyśle i gospodarce narodowej tradycyjnie już korzysta z wypoczynkowego urlopu.

Są także pewne mity, które trzeba i w naszym kraju rozwiać. Współczesna turystyka to bardzo często nawrót do prymitywów nawet programowy, przewidziany z góry. Często chodzi o koszty, ale nie tylko. Przeciętny turysta nie ma specjalnie wygórowanych wymagań i nieprawda jest, że musi mieć do swojej dyspozycji pokój z łazienką i wszystkimi luksusami współczesnej cywilizacji. Wiedza o tym dobrze organizacje turystyczne krajów wyspecjalizowanych w tej dziedzinie i bez hipokryzji podają, że w roku 1966 tylko 32 proc. pokoi oddawanych do dyspozycji turystom spędzającym urlop w Grecji posiadało łazienki, podobnie było w Hiszpanii, a jeszcze gorzej w Szwajcarii, we Włoszech oraz Norwegii. W Szwecji tylko 35 proc. pokoiów hotelowych, a w Irlandii 1/5 było wyposażonych w łazienki.

Cywilizacja wypoczynku i jej jedna z cech ma i takie oblicze.

Może więc i my powinniśmy z tych zjawisk wyciągać odpowiednie wnioski i odpowiedzieć sobie, a później zastosować w praktyce to, czego od nas, od naszego kraju spodziewa się przeciętny turysta.

Nie tylko w Międzynarodowym Roku Turystycznym.



Pospekulujmy książkami!

Dalszy ciąg ze str. 1

go prace z zakresu językoznawstwa, historii literatury, monografii, opracowania. Kupił około 200 tytułów. Polecil go Otto Sagner, księgarz i antykwariusz monachijski, wielki przedsiębiorca. Ilość stałych klientów, figurujących w jego katalogach — 4 tysiące. Co roku przyjeżdża do Polski. Na warszawskich Targach Książki ma swoje stoisko. Zagraniczni klienci to jednak rzadkość.

Do najbardziej stałych, najpoważniejszych należą biblioteki wyższych uczelni, Biblioteka im. Waryńskiego i Archiwum Miejskie. To ostatnie szczególnie łakome na wszelkiego rodzaju łodzi. Historyczne, kulturalne, społeczne — aby jak najstarsze, aby jak najciekawsze.

Biblioteki rejonowe znowu, poszukują bestsellerów literatury pięknej, „zaczytanych” lub, jak by to określić, zaginionych w czytaniu.

Clagle dzwoni telefon: czy jest Przemienieło z wiatrem, 08/15. Noc generalów. Komu bije dzwon. Nędzniczy. Niebo w płomieniach. Popiół i diament. Absalomie, Absalomie. Noce i dnie. Na zachodzie bez zmian...

Czy jest? Pewno, że nie ma. Takie książki mało kto przynosi do antykwarium, a jak przyniesie, to zaraz ktoś inny kupuje. Na pniu. W antykwarium jak w lustrze odbijają się wszystkie braki wydawnicze. W antykwarium szuka się nie tylko starodruków i starożytnych zabytków książkowych. Także tytułów sprzed pięciu i dwóch lat. Gdyby wydawnictwa chciały ustalać swoje plany tylko według telefonów do antykwarium, to już miałyby pełne rozeznanie w potrzebach rynku.

Ale wydawnictwa mają swoją politykę.

Dni Oświaty, Książki i Prasy to coroczne święto i książka jest wówczas jednym z solenizantów, o których się mówi uroczysto, okazjonalnie, podniosło. Czytelnicy, a raczej bibliofile mają do tej imprezy całkiem osobisty stosunek. Liczą na okazję. Okazję, że zostaną przetrząsniętymi piwnicami i magazynami, że na kiermaszach znajdą się chomikowane atrakcyjne tytuły, że niektóre zostaną okazjonalnie wznowione choćby po to, żeby autorzy mieli na czym pisać autografy. Opowiadał Wiech w jubileuszowym wywiadzie telewizyjnym, że podczas kiermaszy podpisuje czasem książki Kraszewskiego i Mickiewicza. Nie miał o to pretensji, bo nazwiska godne i autorzy się nie obraża. Ale na ogół rzeczywiście Dom Książki uciula zawsze trochę wyczerpanych nowości, żeby nie zawieść oczekiwania i godnie czynić honory Domu.

Od ładnych już paru lat miłośnicy książki czekają na okazję. Druga po Dniach Oświaty jest Gwiazdka. Tutaj już nawet Dom Książki nie musi ciuć. Wydawcy działają.

Miniony rok był rokiem narzekania księgarzy i klientów. Mało ciekawych nowości, mało atrakcyjnych wznowień. A w księgarni jak w „barometrze”. Idzie już wydawnictwo — spada obroty. W całym kraju w trzech pierwszych kwartałach sprzedaż książek była niższa niż w roku poprzednim. Dopiero w czwartym kwartale podskoczyła o 18,1 proc. Wydawcy rzucili w tym kwartale około 50 proc. swej rocznej produkcji. Skutki były żałosne. Dom Książki — przedsiębiorstwo handlowe, ograniczone przepisami kredytowymi, nie był w stanie zakupić wszystkiego, co mu oferowali wydawcy. W wyniku tego, w okresie największego popytu, księgarnie łódzkie musiały ograniczyć zakupy nowości, w grudniu np. rezygnując z 250 tytułów wartości ok. 1.800 tys. zł. Wbrew zasadzie, że każdy nowy tytuł powinien trafić do księgarni, wbrew możliwościom sprzedaży. Ograniczono też, a w grudniu całkowicie wycofano tzw. zamówienia wtórne (dodatkowe zamówienia na tytuły, które zostały wyprzedane), zachowując je tylko dla konkretnych odbiorców.

Księgarnie mają plany zapasów towarowych, mają też określony czas rotacji książki. Oznacza to, że nie mogą przetrzymać zbyt długo tytułów, których się szybko nie sprzedaje. Wbrew zasadzie wyznaczanej przez doświadczonych księgarzy, że każda książka znajduje swojego odbiorcę. Przy szybkim obrocie książka księgarnia angażuje mniej środków finansowych, mniej ma zablokowanych pieniędzy. To ekonomiczny punkt widzenia. A handlowy, doprowadzony do „perfekcji” oznaczałby, że każdy tytuł znajduje się w księgarni tylko kilka dni. Mniejsza o literaturę piękną, ale co z literaturą naukową, której nie wykupuje się „na pniu”, lecz tylko wówczas, gdy jest do pracy zawodowej czy studiów potrzebna?

Powtórzyłam tu wielokrotnie słowa takie jak obrót, towar, lada, przedsiębiorstwo, produkcja itd. Mówi się o podwójnej duszy księgarza — sprzedawcy i pracownika oświatowego. Mówi się o księgarni jako o sklepie i placówce kulturalnej. Na-

sze księgarnie — nie z własnej winy — zanałdo są sklepami, za mało placówkami oświatowymi. O paradoksie, słyszałam, że bank łódzki wystąpił do Ministerstwa Finansów z propozycją pewnych zmian funkcjonowania Domu Książki jako przedsiębiorstwa handlowego. Księgarnia jest placówką handlową, ale nie może działać na identycznych zasadach jak sklep mięsny, czy obuwniczy.

Na razie zaś, tak jak sklepowi z konfekcją, potrzebny jest jej towar chodliwy. W branży księgarskiej nazywa się on bestsellerem. Best-seller, angielskie określenie na książkowy przebój sezonu oznacza dosłownie: łatwy do sprzedania. Otwórz to właśnie. Na ogół wiadomo co pójdzie w księgarni jak woda, mimo, że będzie to piąte i dziesiąte wydanie. Ale są i prymadonny jednego sezonu, które dzięki najprzedziwniejszym okolicznościom zdobyły popularność. Są i pozycje, o których przypomniała jakaś okazja, zapomniane mimo niezachwytanych wartości. Na przykład „Popioły”. Pokolenia je czytały z własnej chęci i obowiązku szkolnego, potem zapomniano. I nagle książka stała się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Wajda nakręcił film. Ale wówczas w księgarniach jej nie było. Obawiam się, że kiedy znów pojawiła się w sprzedaży, zainteresowanie już przygasało. Takich okoliczności jak rocznice adaptacje filmowe, teatralne, telewizyjne itp. jest znacznie więcej, wydawcy za nimi nie nadążają. A przecież jest to okazja dla popularyzacji wielu cennych, wartościowych dzieł. Ruch wydawniczy nie może funkcjonować w oderwaniu od tego, co się dzieje w kulturze obok i dookoła. Gdyby się za to wydawcy nie obrażali, radziłabym planować w porozumieniu z instytucjami kultury masowej. Także Składnicy Księgarskiej, która na pewno mogłaby wygrać i owo ze swych przepasanych magazynów.

Doświadczeni księgarze mówią, że każda książka znajdzie swojego odbiorcę. Że nigdy nie wiadomo, co może być potrzebne i co się kiedy spodoba. Czasem na intuicję wyciąga księgarz z magazynu zapomnianą pozycję i nagle zostaje ona błyskawicznie wykupiona. Dzieła Boga-Zełńskiego, jakaś zapomniana książka Waldorffa, Kisch w nowej obwolutie — po latach „leżakowania” w magazynach znalazły chętnych nabywców. (Notabene o roli atrakcyjnej obwoluty i atrakcyjnego tytułu — można by godzinami). Według starej zasady księgarskiej należałoby więc z szacunkiem patrzeć na wszystkie, a przynajmniej na wiele pozycji — jak na potencjalne bestsellery. Ba, ale plany zapasów towarowych nie pozwalają. Dlatego każdego roku wycofuje się z obrotu książki „nie biorące udziału w obrocie”. Wycofano takich nieobrotowych:

w 1964 r. na sumę 318,5 tys. zł
w 1965 r. na sumę 2.201,0 tys. zł
w 1966 r. na sumę 1.752,4 tys. zł

Cierpliwymi czytelnikami zauważył zapewne, że temat niniejszy poruszony został z okazji rozpoczynających się Dni Oświaty, Książki i Prasy. Więc chociaż na zakończenie należałoby kilka słów o tych sklepach-oświatowych placówkach w naszym mieście. Łódź ma w tej chwili 38 księgarni (w których w ubiegłym roku sprzedano około 3 milionów książek za 63 miliony złotych). Nie jest to liczba zbyt wielka. W innych miastach 1 księgarnia przypada na 13 tys. mieszkańców, w Łodzi — na 20 tysięcy. Planują powiększenie ilości księgarni do 1970 r. o 13 dalszych.

Wciąż jeszcze, mimo kilkuletnich starań, za wiele księgarni jest w śródmieściu, za mało na peryferiach. Widzę na przykład na tylko jedną. Dalsze budowane będą już tylko w nowych dzielnicach mieszkaniowych. Ale to wiąże się z dalszymi problemami. Podobno książki kupuje się oczyma. I wobec tego przeniesienie księgarni z Piotrkowskiej zmniejsza jej obroty. Tak na przykład zmniejszyły się obroty Księgarni Technicznej, przeniesionej z Piotrkowskiej 45 do Domu Technika.

Wymaga to nowych form pracy. Księgarnia Techniczna wychodzi teraz do klientów. Nawiazała kontakty sprowadzając do placówek przemysłowych, którym prezentuje swe nowości do przeglądu i wyboru. Wymaga to również wzmoczenia informacji o książce i propagandy książki. Bieżący rok jest rokiem popularyzacji książki naukowej — fachowej i światopoglądowej, społeczno-politycznej. Większość księgarzy wprowadziła już, bądź wprowadza samobsługę w tych działach sprzedaży. Samobsługa z kolei wymaga odpowiednich warunków lokalowych, większych pomieszczeń, ułatwionego dostępu do półek.

W książkach naukowych — jak w beletrystyce, są bestsellery, są i takie, które muszą czekać na swojego odbiorcę.

TERESA WOJCIECHOWSKA



jest rzeczą pasjonującą oglądać sceniczne wcielenia takich postaci jak stary Karamazow, Smierdiakow, książę Myszkina, Rogożyn czy przejmujące, bo przeważnie nieszczerze losy kobiet. „Braci Karamazow” wystawił Mechat po raz pierwszy w 1910 roku. Tyle lat sztuka ta utrzymuje się w repertuarze teatru. Naturalnie zmieniają się obsady, zmieniają sytuacje inscenizacyjne, ale podstawowe założenia nie uległy zaprzepaszczeniu. Pomysłcie tylko: przez ponad pół wieku „Braci Karamazow” nie schodzi ze sceny. W fakcie tym kryje się cała wielkość Mechat. Ale byłbym niecisły, gdybym nie dodał, że Mechat żyje bardziej dawną świetnością, niż tym, co w tej chwili robi.

Krytycy moskiewscy, bywalcy teatralni, inteligencja i młodzież narzekają na tradycyjność i starość tej sceny. Byli nawet tacy, którzy odradzali mi pójście na „Braci Karamazow”. Nie posłuchałem ich. I postąpiłem słusznie. Sztuka Dostojewskiego, w starych, zakurzonych deko-

racjach i całym tak charakterystycznym dla tego teatru sztafetu naturalistycznym, nie przestaje być wydarzeniem. Dobremu dziełu nie jest w stanie przeszkodzić. Gdy na scenę wchodzi utwór tej miary, co „Bracia Karamazow”, człowieka mniej interesują formy i sposób jego wystawienia. Powiedziałbym nawet, że w tym wypadku stają się one mało ważne. Jeśli w dodatku odtwórcami ról są znakomici aktorzy! Ładunek treściowy, emocjonalny i intelektualny „Braci Karamazow” jest tak potężny, że chwytły formalne w scenicznym wydaniu utworu nie odgrywa istotnej roli. W „Braci Karamazow” dochodzi do głosu najgłębszy, najtraficniejszy los człowieka. Aktorzy Mechatu w sposób baro-dziej lub mniej doskonały (raczej bardziej niż mniej) po trafili oddać bezlitosny, ale też i oczyszczający klimat psychiczny udręczonych ludzi. Dwie zwłaszcza postacie wdrażają się w pamięć widza: Prudkin w roli starego Karamazowa i Szawynin jako

Smierdiakow. Jeśli nie stawiam na równi z nimi Zolotuchina jako Dmitrija, to jedynie dlatego, że nieco inaczej go sobie wyobrażałem. Wyznam, że lepiej w moim odczuciu odtworzył tę postać Yul Brynner w filmie amerykańskim, chociaż amerykańskie wydanie filmowe „Braci Karamazow” jako całość nie osiągnęło najwyższego poziomu. Przykład Brynnera jest tym ciekawszy, iż podważa rozpowszechnione przekonanie, że jedynie aktorzy rosyjscy potrafili w pełni wcielić się w skórę bohaterów Dostojewskiego.

„Bracia Karamazow” w Mechatie są świadectwem świetności tego teatru. Przedstawienie nie tylko porusza do głębi, nie tylko nie daje spokoju, prowokując do rozmyślań i dyskusji, lecz zapisuje się w pamięci widza jako trwałe przeżycie artystyczne. Głównie i przede wszystkim dzięki pracy aktorów.

Niewątpliwie donioślejszym wydarzeniem okazał się „Idiot” w teatrze leningradzkim. Miałem wyjątkowe

szczęście. W dniu, w którym przyjechałem do Leningradu, utwór Dostojewskiego, po wielu miesiącach niegrania, został wznowiony i wszedł na powrót, zresztą nie na długo, do repertuaru. Rolę księcia Myszkina gra znany z roli Hamleta w filmie — I. M. Smoktunowski. O tym aktorze, prawniku polskiego zesłańca, trzeba by napisać osobne studium. Widziałem w roli Myszkina Gerarda Philippa i naszego Hanuszkiewicza. To dobrzy aktorzy, bez kwestii, i książę Myszkina w ich wykonaniu zasługuje na duże pochwały. Ale dopiero Smoktunowski odkrywa wszystkie warstwy tej złożonej psychiki. Jest przy tym nowoczesny w swoim aktorstwie, przez co rozumiem, że w sposób oszczędny, wewnętrznie skoncentrowany, ale bez uszczerbku dla bogactwa dramatycznego postaci — tworzy rolę Myszkina, stopniując narastanie konfliktu z samym sobą i otoczeniem. Już w pierwszej scenie, w podaniu, nieomylnie i sugestywnie narzuca on swoją wizję bohatera,

k którego aprobujemy, któremu współczujemy, i którego zaczynamy kochać. Nie mogę już sobie wyobrazić „Idioty” Dostojewskiego w innym wykonaniu. Smoktunowskiemu sekunduje wybornie E. A. Lebediew w roli Rogożina. Są sceny, w których Lebediew jest obecny, lecz nie mówi. Ale jak on się zachowuje, jak cierpi, jaka wzbiera w nim namietność. Rogożin jest również postacią tragiczną (czy są inne u Dostojewskiego?), jego miłość do Nastazji Filipowny (doskonała rola E. A. Popowej) zawie-ra wszystkie udreki człowieka zakochanego bez opamiętania. Scena finalna, w której Rogożin opowiada księciu Myszkiniowi, w jaki sposób zamordował Nastazję, jest czymś tak niezwykłym artystycznie, że trudno myśleć o niej bez najwyższego podziwu.

I tutaj chciałbym przejść do konkluzji końcowej. Sadzę, ba! jestem o tym głęboko przekonany, że aktorstwo rosyjskie to nie tylko znakomite talenty. To również wyso-

kiej klasy technika i rzemiosło. Nawet małe, epizodyczne role opracowane są precyzyjnie i do najdrobniejszych szczegółów. Zarówno w „Braciach Karamazow” jak i w „Idiotcie” są sceny zbiorowe z udziałem dużej ilości statystów. Ilek dynamicznie zawiera każda z tych scen. Wskutek tego przedstawienia nie cierpia na zapaść nudy, nie ma w nich pustych miejsc, w których „nie się nie dzieje”.

Myślę, że w Polsce nie brak nam talentów aktorskich. Mamych ich pod dostatkiem. Co się jednak tyczy opanowania rzemiosła artystycznego, jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia i do nadrobienia. A już najwięcej w tym względzie mogłoby zrobić nasze szkoły artystyczne, które — jak wiadomo — czynią jak najmniej. Aktor, przychodzący po szkole do teatru, grzeszy brakiem wielu cnót, spośród których niedomagania dykcyjnej wybiła się chyba na czoło. Toteż niejedną z nich musi naukę rzemiosła aktorskiego zaczynać od nowa.

Rozmowa z autorem

ODGŁOSY: — Powieść „Albinos” ukończył Pan w roku 1963. Jak to się stało, że dopiero w tym roku ukaże się ona w książkach?

J. CZARNY: — Wino, żeby było lepsze, przechodzi okres leżakowania...

ODGŁOSY: — Owoce przechodzą okres cukrowania...

J. CZARNY: — Tak. A książka przechodzi okres kiwania (autora). Zwłaszcza jeśli jest to książka ryzykowna, odbiegająca trochę od wyzłobionego nurtu.

ODGŁOSY: — Na czym polega „ryzykowność” Pańskiej prozy?

J. CZARNY: — Na parabolach. Nie brak tu wprawdzie realistycznych zbliżeń a nawet rodzajowości — bowiem dotyczy ona środowiska artystycznego — ale często posługuję się metaforą i wszystko podporządkowane jest naczelną paroli.

ODGŁOSY: — Mówi Pan, że „Albinos” dotyczy środowiska artystycznego. Niech Pan nas szybko uspokoi. Niech Pan powie, że nie jest to kolejna książka z kluczem. Czy mógłby Pan zarysować temat?

J. CZARNY: — Jest to powieść o poszukiwaniu, jako że człowiek ciągle w życiu szuka a artysta tym bardziej. „Nigdy nie zapomnę tego poszukiwania — mówi narrator — poszukiwania, które oddzieliło się już od przedmiotu poszukiwanego. Stało się moim obłędem, moją obsesją, moją wewnętrzną potrzebą. Potrzebą? Tak. Bo może po prostu nie chodzi o Albinosa. Może on jest tylko symbolem tego, czego mi w życiu brak. Może kogo innego też bym tak szukał, jak jego. Zresztą za chwilę już mi się zdaje, że nie ja szukam, lecz mnie szukają. Lub że szukamy się nawzajem. Jak dwie goniące się kulki, krążące po obwodzie tego samego koła”.

Rozmawiał: **ANDRZEJ MAKOWIECKI**

IAN CZARNY

Madame Sabattini

Na sztuczną planetę spada nieszczęście, w postaci życia biologicznego. Sztuczne stwory, zaatakowane przez żywe organizmy rzucają się w paniczną ucieczkę. Zapalają się alarmowe światła, wyje syrena. Sztuczne stwory, na sztucznej planecie, chowają się do sztucznych schronów. Ale niebezpieczeństwo jest wielkie. Biologia panoszy się, rozrasta. Żywe ptaki wypierają sztuczne, unoszą jajka, prawdziwe, a nie blaszane, otwierające się przy pomocy zawiasów. Z jajek wykluwają się pisklęta. Zamiast stalowych sprężyn i nakrętek, pojawiają się robaki i dżdżownice. To prawdziwe nieszczęście i klęska dla mechanicznych stworów.

Film nazywa się „Zagrożenie”. Ku mojemu zdziwieniu, autorem jego jest Albinos. Nie chcę w to uwierzyć i parę razy odczytuję streszczenie scenariusza i podpisane pod nim nazwisko.

Jest mi miło, że przynajmniej w ten niedoskonały sposób wymieniam z Albinosem myśli.

Zakładamy, że istnieje gdzieś sztuczna planeta, na której istnieje sztuczne życie, gdzie nie ma ani śladu roślinności. Tak się zaczyna objaśnienie.

To brzmi groźnie i to wszystko wymyślił on. Co chciał przez to powiedzieć i czy to jest naprawdę możliwe? Chyba nie, ale nie należy tego rozumieć dosłownie. Pisarz, to nie madame Sabattini, która wszystko wie. Od niego nie zależą aż losy świata.

Idę dalej długim korytarzem, który zamienia się parę razy i ma kształt meandru. Doszedłem do miejsca, gdzie zgięty jest jak kolano. Zatrzymuję się i patrzę przed siebie. W końcu długiego, mrocznego korytarza widzę stojącego nieruchomo, młodego człowieka. Na pierwszy rzut oka nie budzi zaufania. Do dolnej wargi przylepiony ma ironiczny uśmiech, pełen cynizmu i niewiary. Postanawiam nie zwracać na niego uwagi i idę dalej. Ale młodzieniec też rusza z miejsca i idzie prosto na mnie. Zatrzymuję się dopiero parę kroków przed nim i spostrzegam, że on też się zatrzymał. Co u diabła, myślę, czyżby mnie przedrzeźniał? Muszę to sprawdzić.

Podnoszę rękę do góry i przyglądam włosy. Młodzieniec wykonuje te same ruchy. Robię parę przysiadów. Młodzieniec też kuca, niemal tracąc nos o mój nos. Tego już za wiele, to obrażające. Reka sama się podnosi, aby wymierzyć karę bezczelnemu chłystkowi. Zatacza łuk i niespodziewanie uderza w gładką, chłodną taflę.

Teraz dopiero spostrzegam, że w samym końcu korytarza, którym siedłem, oparte o ścianę, stoi lustro. Prawdopodobnie używają go do zdjęć trikowych, a ja przypadkiem padłem jego ofiarą. Zmierzę panującą w korytarzu i lekką deformacją sprawiły, że siebie nie poznałem i może dlatego ujrzałem się po raz pierwszy w życiu.

str. 6

czną, chociaż się, dmy, stają gęsiego za byle cyfra. Potęgą jej wartość w biliony, tryliony, kwadryliony... Były jedynka dzięki nim procentuje w horrendalnie szybkim tempie. Podnosi ich wartość, jako części zespołu, ale pomniejsza ją jednocześnie, wyznaczając im ostatnie miejsce w długiej kolejce. A więc uciekają, przeskakują na drugą stronę znaku równości. Naruszają statykę ustabilizowanego dopiero co układu. Znak równości staje deba. Po kolejnym przewarstwowaniu poszczególnych cyfr i stojących pomiędzy nimi znaków, znowu następuje kataklizm. I tak bez końca.

Teraz inny, kolorowy film, tego samego autora.

Film niby abstrakcyjny, a jednak lepiej niż rycina w atlasie ornitologicznym oddaje istotę ptaka, jego idee. Samą jak gdyby pierzastą. A więc na ekranie wirują kolorowe piórka-niepiórka, tworząc dziwne układy baletowe. Syntezę tego wszystkiego, co powiedzieć moglibyśmy o ptaku-nieptaku.

Żar ptaki, rajskie ptaki, kolibry, jarzabki, pawie, sówki, dziecięcy, jemioluski, śmieciuszki — wszystkie one kwilą i dokazują w tych ptasich figlach.

Przychodzi mi na myśl poematy Ponge'a, usiłujące również poprzez ptaszność oddać wiele nieartykułowanych spraw ludzkich i nieludzkich. Nagle piórka-niepiórka rozpryskują się. Oznacza to śmierć od razu wszystkich ptaków, które były, są i będą. Rozlega się elektryczny śmiech wywołany do absolutnej ciemności ekranu, która jest nie tylko ciemnością, próżnią i bezkresów, łącznie z tym, który nas czeka po upływie przeznaczonego nam czasu, a którego doznaliśmy zanim przekroczyliśmy jego próg.

Wstaję z krzeselka, a raczej z brzeżka krzeselka. Zapala się światło w małej salce. Wszystkim się zdaje, że dopiero co wszedłem, ponieważ moje miejsce jest tuż przy drzwiach. Zebranych na sali widzę po raz pierwszy i oni mnie widzą po raz pierwszy i widok ten jest jak gdyby dalszym ciągiem filmu.

Stoją tak, świecąc lusterkami oczu, w których skaczą jeszcze tłoczące się cyfry i wirujące piórka-niepiórka. Za chwilę zapytają mnie, po co tu przyszedłem. To też będzie dalszym ciągiem filmu. Już właściwie powiedziałem to, zanim powiedziałem. Nim otworzyli usta i pukili w ruch języki. Wciąż nie czekając na konkretnie sformułowane pytanie, odpowiadam im, otwierając krótki dialog. Odpowiadam, a raczej pytam. Stawiam kwestię: Nie było tu Albinosa? Brzmi ona głucho i głupio. Wywołuje wesołość.

Wybuchają gromkim śmiechem. Rozszerzone dotąd żrenice zwięzają się nagle.

Stoję pośrodku, onieśmielony. Musiałoby przyjść odprężenie. Rozumiem to. Po tych wszystkich sprawach ptasich, nieptasich. Po tych walkach cyfr, po tych upadkach i wzlotach wartości. Odwracam się na pięcie i wyskakuję z sali. Wiem, że skurcz śmiechu będzie ich trzymał na uwieczni tak długo, aż nie wyśmieją się do końca. A wariantów, pas i gestów w rytuale śmiechu będzie tyle, ile jest ich w wierszu Williama Chlebnikowa — „Zaklecie przez śmiech”. Dopelnienie tego ceremoniału według obowiązującej etykiety pozwala mi się wyminąć niepostrzeżenie.

Nagle spostrzegam kątem oczu, że jeden z nich, młody, w sportowej, zamszowej kurtce, lekko szpakowaty, o bladej, szlachetnej twarzy — nie śmieje się. Dlaczego — pytam sam siebie, nie śmieje się ze mnie. To dziwne. Idzie do mnie bokiem wzdłuż ściany. Sunie do mnie dziwnym, zwietrzałym krokiem. Staje przede mną na odległość dłoni i mówi: To idioci, niech pan na nich nie zwraca uwagi. Należałoby im rzucić w twarz znane słowa: Z kogo się śmiejecie, z siebie samych się śmiejecie...

Może to pana zdziwi, ale ja wiem, kogo pan szuka. Pan szuka... tu wymieniam nazwisko Albinosa. Od razu się domyśliłem, kiedy pana zobaczyłem. Pan go szuka, ale nie powinien go pan szukać. Przecież to satanista. Czy pan się dobrze przypatrzył jego oczom. Ma tragiczniejsze oczy, niż stu Hamletów. Niech pan go unika. Powinien nosić ciemne okulary. Mniej widziałby i był by szczęśliwszy. A inni nie widzieliby tego, co on widzi i wszyscy byłby zadowoleni. Niech pan go nie szuka. On pana zgubi. Chyba, że go pan nie znajdzie. To jest człowiek, który wśród normalnych jest wariatem, a wśród wariatów normalnym. Nigdy nie potrafi się dostosować do otoczenia. To skurczybyk. Tak mi powiedział jeden jego znajomy, któremu pomógł.

Przyspieszam kroku i słowa nieznajomego giną gdzieś w mroku korytarza.

Na obraz Mony Lizy rzucił się jakiś wariat z brzytwą w ręku. A teraz ten Szpakowaty zamierza zniszczyć portret Albinosa, istniejący zaledwie w nikłych, niewyraźnych konturach. Chce te kontury wypełnić złośliwym grymasem. Skrzywieniem ust. Zaciśnięciem szczęk i złym błyskiem oczu. Chce użyć śliny zamiast werniksu.

Uciekam jak najdalej od niego. Sam chcę wypełnić ten portret do końca. Nie pozwolę go utrwalić nikomu, zanim go zapelnię.



Fot. Kogut (CSRS).

Dalszy ciąg ze str. 1

ste j, ale i na wspólnych dążeniach i na ideologii w spólnym" (list z 21 I 1924).

W rezultacie współpraca „młodych” z pismem nie dała spodziewanych rezultatów. Przyswajający redakcji cel wypracowania nowych środków wyrazu dla literatury proletariackiej — literatury nowej w treści, a więc także nowej w formie — nie powiodł się. Tak jak nie zdołano wypracować pełnej teorii tej literatury, w których to kwestiach zabierał głos także Wandurski („Zdobycze poezji proletariackiej”), prezentując stanowisko zbliżone do poglądów redakcji. Poetów awangardowych z kregiem „Nowej Kultury” łączył przede wszystkim program negatywny: protest przeciwko tradycji i kulturze mieszczańskiej, dzielił — program pozytywny. Z Wandurskim przekonanie o konieczności nasycenia poezji treścią rewolucyjną dzielił tylko Bruno Jasiński, a w pewnej mierze także Anato. Stern — wkrótce autorzy poetyckiego zbiorku „Ziemia na lewo” (1924). Broniewski na ten temat na łamach „Nowej Kultury” jeszcze się nie wypowiadał. Jego najbardziej otwartą deklaracją był tu wspomniany przekład wiersza Majakowskiego „Poeta-robotnik”.

Redakcyjne kontakty i dyskusje, wymiana listów i osobiste spotkania zbliżyły do siebie poetów. Po półrocznej korespondencji Wandurski zaproponował Broniewskiemu „braterstwo”. W liście z 7 lipca 1924 roku pisał: „Właściwie powinniśmy już dawno wypić „braterstwo” i mówić sobie „ty”. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu — tj. jeśli nie macie nic... trzeba będzie „wykokotałować” to przy najbliższym moim pobycie w Warszawie”. Z tej okazji przesłał Broniewskiemu wiersz, który mu dedykował. Nie podał jednak w liście jego tytułu, ani też nie oznaczył wyraźnie, który z napisanych w tym czasie wierszy został poświęcony przyjacielowi, stąd trudno to ustalić.

Szlachetne, wolne od cienia zawiści, uczucia podziwu i uznania, którymi od początku darzył Wandurski przyjaciela, nie pozbawione były pewnej szczególnej cechy, a mianowicie nieustającej chęci udzielania „pouczeń”: jak pisał wiersze. Dotyczyły one przede wszystkim wymowy ideowej wierszy i wpływały z chęci swoistego „prostowania” drogi jego poetyckiego rozwoju. Prawo do nich przypisał sobie Wandurski dość wcześnie i w tej roli swoistego mentora wytrwać miał do końca, jak do końca przetrwać miał jego podziw. Miał to Broniewski skwitować żartobliwą fraszką:

Pouczał mnie Wandurski, jak mam pisać twardo,
jakie wiersze są lepsze, a jakie są gorsze.
Witoldzie, jeśli cenisz tylko chleb z musztardą,
nie przychodź do „Ziemiańskiej”, bo ciastka popieprzę³⁾.

Na gruncie współpracy w „Nowej Kulturze”, która podobnie, jak „Kultura Robotnicza”, uległa konfiskacie cenzury, narodził się projekt wydania przez poetów wspólnego zbiorku wierszy. O losy tego przedsięwzięcia zapytywał Wandurski w cytowanym liście: „Napiszcie również, jak przedstawia się sytuacja wydawnicza i czy jest nadzieja, że puścimy nasze „biżnięta” w świat na jesień, względnie w zimie? Albo może wolcie w „pojedynkę”? Nie wiadomo, co w rezultacie przesunęło realizację tego projektu o cały rok, być może trudności wydawnicze, albo też zdecydowali obaj, że zadebiutują najpierw samodzielnie, tak bowiem Broniewski, jak i Wandurski rozpoczęli w tej sprawie starania jesienią 1924 roku. Pierwszy ukazał się tomik Broniewskiego „Wiatraki”, bo już na początku 1925 roku Wandurski, zaabsorbowany w tym czasie realizacją na scenie „Krakowskiego Teatru” im. J. Słowackiego swojej sztuki „Śmierć na gruszy”, mniej interesował się wydaniem poezji. „Skandal”, jaki wywołało wystawienie tej sztuki, miał nieoczekiwanie odbić się także na jego debiucie poetyckiej książki. Złożona w Drukarni Narodowej w Krakowie przeleżała tam kilkanaście miesięcy, wstrzymywana przez krakowską cenzurę, szczególnie czujną wobec „burzyciela porządku publicznego”, „wywrotowca” i „bolszewika”, jakim po premierze „Śmierci na gruszy” okrzykiwała go prasa krakowska. W rezultacie tomik „Sadze i złoto” ukazał się dopiero na początku 1926 roku ze skreśleniami cenzorskiego ołówka. Rzecz charakterystyczna, że spotkało to wiersze, które wcześniej w pełnej wersji ukazywały się w Warszawie.

Pierwsze różnice poglądów, jakie zarysowały się między poetami, ujawniły się w ocenie tomiku „Wiatraki”, której dokonał Wandurski w recenzji zamieszczonej w „Wiadomościach Literackich” (1925 nr 10). Stawał w niej Broniewskiemu „kilka zarzutów”:

„Broniewski jest moim przyjacielem serdecznym. Łączy nas coś więcej niż wspólnota rzemiosła poetyckiego: droga. Dlatego niech mi wolno będzie postawić mu kilka zarzutów. Otóż w omawianym tomie Broniewski kilkakrotnie zbacza z obranej przez siebie drogi na bezdroża. Obok świetnych w radosnym poczuciu zwycięstwa pracy „Robotników”, obok radosnego, pełnego fantazji młodzieńczej a doskonale zinstrumentowanego „Koncertu” — daje nam Broniewski rzeczy znacznie słabsze (i co najważniejsza — niesamodzielne) [...] Broniewski poddał się wpływom „Ziemiańskiej”, nie uniknął następstw ciągłego obcowania z ciałym gronem poetów — z krzywdą dla siebie. Bo nie chodzi tu już o formalną „wplywologię”; Broniewski jest dobrym majstrzem formy i potrafi obcy temat opracować artystycznie na swój sposób. Ale to, co nam daje w wierszach zapożyczonych, jest właściwie obce jego organizacji duchowej [...] Trzeba mieć śmiałość iść raz obraną drogą — i nie wahać się”.

Zarzuty nie były blahe, mówiły bowiem o niekonsekwencjach i braku zdecydowania, o uleganiu wpływom skamandryckim i młodopolskim nastrojom. W rezultacie czego — zdaniem recenzenta — obok „mocnych, z męki powstałych” wierszy jawiły się w zbiorku Broniewskiego liryki o „tonach miękkich, rozkuliwających”, obcych „organizacji duchowej” autora i świadczących o „zbacaniu z raz obranej drogi agresywnego stosunku do życia jako tworzywa”.

W prywatnych listach dawał Wandurski wyraz przypuszczeniom, że literackie zajęcia i środowisko zbyt zaabsorbowały przyjaciela, izolując go od nurtu „prawdziwego życia”. „Czyżby — pytał w liście — „poważna” praca redaktora w „Wiadomościach” zajęła ci nie tylko czas, ale i — duszę? Czyżby w tobie takie zmiany zaszyły, że nie chce ci się, pocie, wejrzeć w życie żywe?” (30 IV 1925). Ten motyw sporu, zapowiedziany tu przypuszczeniem o oddalaniu się rewolucyjnego poety od właściwego mu środowiska, nabierze później w polemice Wandurski — Broniewski większego znaczenia — wagi zarzutu. Jego ciężar wzrastać będzie dość znacząco w miarę coraz czynniejszego angażowania się Wandurskiego w pracę polityczną wśród łódzkich robotników. W tym czasie ideał poety-działacza, poety-agitatora, czynnie uczestniczącego w walce proletariatu, który był dla Wandurskiego modelem najważniejszej postawy poety rewolucyjnego, dopiero odrzucił. Nie ogłosił on jeszcze swojej pełnej deklaracji ideowej, za którą uzna dopiero wystąpienie w „Trzech salwach”, a do pracy politycznej — nie jak dotąd przede wszystkim kulturalnej — w sposób bardziej czynny także dopiero wchodził. Jego postawę „agresywnego stosunku do życia” zapowia-

dały już wiersze publikowane w „Nowej Kulturze” (np. „Do panów poetów”, „Precz z kaparkami”). Tym poetyckim deklaracjom towarzyszyły wypowiedzi i oświadczenia składane w listach. „Możebyście — pisał do Broniewskiego — raz jeden wzięli! na odwagę i nie tylko Chrystusów po ulicach i wiecach oprowadzali, nie tylko policjantów na zbiegu dróg mlecznych wyszydali, ale tak [...] numerowego stupajkę na kiel wzięli, he? Nie obrażaj się Władziu, że i do ciebie piję. Ale zrozum, do diabła, że dziś nie czas na żadne kosmiczne melancholie, że dziś ponury sceptycyzm rewolucyjny jest maską obłudną — że można, do stu piorunów, nawet nie wierzyć w moc wypadków i skalę ich olbrzymia — ale i śmiesznie tylko też młodym nie wolno!” (30 IV 1925). Nie był to tylko poryw temperamentu, ani wyłącznie deklaracja zafascynowanego czynną działalnością poety, ale rezultat poczynionych obserwacji i bezpośrednich doświadczeń, własnych gruntownych przemyśleń i poszukiwań, których suma nakazywała Wandurskiemu w takim właśnie „agresywnym”, stosunku do rzeczywistości szukać najwłaściwszej postawy współczesnego poety.

Myśl wydania wspólnego zbiorku poezji, pomyślanego jako ideowa deklaracja ich przekonań, teraz dopiero oblec się miała w kształt realny. Do realizacji tego zamierzenia przystąpili obecnie już nie jako mało znani poeci, ale twórcy przedstawieni w świecie literackim, o których debiutach mówiło się wiele. Uległ w tym czasie zmianie pierwszy pomysł wydania tomiku tylko przez dwóch autorów, Broniewskiego i Wandurskiego, którzy postanowili włączyć do tego przedsięwzięcia także S. R. Standego, autora zbiorku poezji „Młoty” (1921), członka KPP. Zaproponował to zapewne Wandurski, który poznał Standego wcześniej, skoro tak pisał do Broniewskiego: „Bardzo się cieszę, że poznał Standego i — sądząc z jego listu — przypaść ci do gustu. Jest tak mało u nas literatów — a tym bardziej poetów — społecznie (socjalnie) „nastawio-

Wandurski i Broniewski

nych”, że jak się kilku znajdzie i „zwącha” — to jest to już zdarzenie poważne” (18 VI 1925).

Kilka miesięcy później, w październiku 1925 roku, ukazał się ich wspólny biuletyn poetycki „Trzy salwy”. Wystąpił w nim z konsekwentnym i otwartym programem poezji-walki, postulującym twórczość politycznie zaangażowaną. Walkę tę uznali za „najwyższą treść” swej twórczości, o czym pisali w deklaracji ideowej, poprzedzającej zbiorek. Autorami jej byli projektodawcy tego przedsięwzięcia — Broniewski i Wandurski. Nadawali swemu wystąpieniu nazwę „biuletynu”, by nie budzić wątpliwości, co do politycznego i zaangażowanego charakteru swej poezji, nazwali się „robotnikami słowa” — by podkreślić jej proletariackość. Łączyli swą twórczość otwarcie z walką rewolucyjną proletariatu. Tak jednoznacznie określonego programu nie przedstawiono dotąd w polskiej literaturze. W tej też mierze ich zbiorek był wystąpieniem pionierskim, ogłaszającym powstanie wyrazistej ideowo grupy poetów rewolucyjnych.

Krytyka przyjęła „Trzy salwy” z rezerwą; recenzje ukazywały się z pewnym opóźnieniem, sprawiającym wrażenie pewnego oczekiwania czy nawet zbagatelizowania zjawiska. Niektóre brzmiały nie tylko wrogo, ale wręcz denuncjatorsko. W nacjonalistycznym „Słowie Polskim” (1925, nr 299) J. Zahradnik, znany z podobnych wystąpień, w paszkwilu „Satyra na komunizm” groził autorom więzieniem. Jego „niepokój” wzbudzała przede wszystkim postawa Wandurskiego. „Ten enfant terrible — pisał — nie zna dotychczas pojęcia cudzej własności („Głodnyś — to rozbij sklep”), dodając, że nim zwłaszcza winno zaopiekować się społeczeństwo „we własnym dobrze zrozumianym interesie”.

Literackie oceny zbiorku najwyższą rangę poetycką przyznały wierszom Broniewskiego, co po życzliwych ocenach „Wiatraków” ugruntowało opinię o jego wybitnym talencie. Wandurskiego ocenili najtrafniej Adam Polewski w recenzji zamieszczonej w „Gazecie Literackiej” (1926, nr 2), piśmie młodych lewicujących literatów krakowskich. „Wandurski — pisał — jest z nich najoryginalniejszy, ale niewątpliwie najmniej „poetyczny”, czego nie może uważać jedynie za komplement, bo przyczyną tego jest nieprzetrawiony realizm”.

„Trzy salwy”, choć w sumie pisano o nich niewiele, wywołały wielkie poruszenie w ówczesnym świecie literackim. W kilka tygodni po ukazaniu się zbiorku, Wandurski, do którego w Łodzi dochodziły tylko stłumione echa dyskusji i polemik, tak ocenił ich wystąpienie: „W ogóle, na ogół możemy sobie powinszować: już od lat żaden zbiorek poezji nie narobił tyle ruwetu w literaturze. Niech tam sobie na nas urągają — od tego są, to ich obowiązek — ale, jak widać, zaczynają się z naszą „grupą” liczyć. Róbmy więc dalej”, (list z 11 XII 1925).

Interesująco przedstawiała się recepcja „Trzech salw” wśród robotników, a więc tej klasy w imieniu której poeci chcieli przemawiać. Pisał o tym obszernie Wandurski do Broniewskiego, przekazując swe spostrzeżenia poczynione na gruncie łódzkim: „Jest jeszcze jeden odbiorca, o którym wspominasz — a ten jedynie jest coś wart: to robotnik polski i ta nieliczna dziś jeszcze młodzież lewicowa polska, która jest, która pragnie tego, co i my pragniemy. Gdybyś wiedział jakiego pielgrzymki odbywają się do mnie co dzień — od czasu ukazania się „Trzech salw”. Ilu szewców, tokarzy, kucharzy, elektryków zachodzi do mnie — i z jakim namaszczeniem czyta te nasze wiersze, komentuje, prosi o wyjaśnienia, deklaruje... Oczywiście najbardziej podobą się im — przedmowa. Ogromne powodzenie ma twoja „Ostatnia wojna” i „Szpicel” oraz moje „Do panów poetów” i „Stolarka”. Stande jest dla nich za mało zrozumiały, za mało polski. Jedynie w sferach inteligencji lewicowej i on już „poszedł w kurs”, niektóre jego słowa stały się „lotne” — np. „nadzwyczajne wydanie”. Powinam ci, Władek, dobrze jest: zrobiliśmy swoje, robotnik

schwył się za nas, jak za deskę ratunku — przedmowa sama dodała mu otuchy, wiary, humoru, fantazji... Niedawno, na zebraniu niedzielnym w centrali związków zawodowych, miał miejsce fakt następujący. Jeden z członków sceny, którego tam postawiłem, zaczął sprzedawać „Trzy salwy”. Na razie brał do ręki ogłędnie. Ale wystąpił sekretarz związku spożywczego, który widział naszą pracę w Scenie Robotniczej i począł tak gorąco wychwalać naszą książkę, że to „dobra rzecz”, „nasza”, „prawdziwa”, że warto kupić — iż istotnie 12 egzemplarzy w mgnieństwie rozszło się. Powiedz, który z poetów Skamandra może się czymś podobnym poszczycić?” (list z 11 XI 1925).



Zachęcany przyjęciem zbiorku przez robotników, chciał Wandurski zorganizować w Łodzi kilka wspólnych wieczorów autorskich, „mielibyśmy — donosił Broniewskiemu — robotników w masie”, ale nie zezwoliła na to policja łódzka. Myślał także, by wyruszyć z wieczorami autorskimi „do Zagłębia i terenów naftowych”, ale i ten pomysł nie został zrealizowany. W rezultacie — z powodu braku pieniędzy i nawąju pracy partyjnej — nie mógł nawet przyjechać na wieczór autorski, który w Warszawie zorganizowali jego przyjaciele.

Wydanie biuletynu poetyckiego dało początek dalszym wspólnym przedsięwzięciom poetów. Nosili się z zamiarem utworzenia i grupowania literackiego, założenia Klubu Pisarzy Proletariackich (ta myśl nurtowała już Wandurskiego od 1924 roku), wydawania pisma, almanachów, jednodziówek, tomów poezji i przekładów. Czynnym i pełnym inwencji projektodawcą był w tym względzie Wandurski, ale jego możliwości realizowania tych zamysłów były bardziej ograniczone, niż jego współtowarzyszy, mieszkających stale w Warszawie. W rezultacie niewiele z tych projektów obiekto się w kształt realny, na co złożyły się zarówno względy natury materialnej, jak i politycznej. Pewne szanse realizacji miał projekt, z którym jesienią 1925 roku wystąpił Broniewski: była to próba założenia nowego społeczno-literackiego pisma marksistowskiego. Proponując współredagowania przyszłego pisma przyjął Wandurski entuzjastycznie: „całkowicie piszę się z góry na twój projekt, bo sam od miesiąca noszę się z tym, jak kura z jajkiem. Wiem, że się całkowicie „spikniemy”. Gotów bym przynieść się do Warszawy i oddać „całkowicie” pracy dziennikarskiej” (list z 12 IX 1925). W istocie też rozwinął w tym zakresie niebywałą inwencję, zaspokajając przyjaciela coraz to nowymi propozycjami, dotyczącymi tak współpracowników przyszłego pisma, jak i własnymi projektami pisarskimi. Jak wiele inicjatyw, tak i ta, zdawałoby się bliska już realizacji — gotowy był pierwszy numer pisma — nie doszła do skutku⁴⁾. Dla Wandurskiego decyzja, że pismo wychodzić nie będzie, była dotkliwym ciosem. Fakt ten rujnował szereg z nadzieją budowanych planów, przede wszystkim jednak pozbawiał szansy posiadania trybuny, z której mógłby mówić z większą swobodą. „Jestem — zwierzał się w tym czasie przyjacielowi — mocno przygnębiony. Sterczenie w Łodzi obrzydło mi ostatecznie. Nierobstwo — też. Impotencja twórcza — gryzie, ssie, trapi...” (list z 11 XII 1926).

Na ten czas przypaść miał czas gruntownych rewizji i „rozrachunków” Wandurskiego z własną twórczością i postawą, co w efekcie przyniosło także zaostrenie polemiki z Broniewskim.

HELENA KARWACKA

⁴⁾ Listy te, znajdujące się obecnie w Muzeum Władysława Broniewskiego w Warszawie, udostępniła mi łaskawie przed paru laty pani Wanda Broniewska, za co Jej w tym miejscu składam podziękowanie. Kilka z nich opublikowała ostatnio F. Lichodziejska („Miesięcznik Literacki” 1967 nr 3), większość, dotąd jeszcze nie wydana, została tu obszerniej wykorzystana do raz pierwszy.

⁵⁾ Ten przekład, a nie ogłoszone wcześniej drobne utwory poetyckie („Młodzi idą” 1914 i „Robotnik” 1922), uznał Broniewski za swój oficjalny debiut.

⁶⁾ Fraszki tej Broniewski nie opublikował, podał ją z pamięci F. Lichodziejskiej, która opublikowała ją w 1965 r.

⁷⁾ Pierwszy numer nowego pisma marksistowskiego, zachowujący tytuł pierwotny z 1925 r. — „Dźwignia”, ukazał się dopiero w 1927 r.

Orson Welles o filmie

W kwietniowym numerze The Observer Review zamieszczono obszerny wywiad ze znakomitym amerykańskim reżyserem filmowym Orsonem Wellesem. Publikujemy fragmenty tego wywiadu dotyczące poglądów Wellesa na temat współczesnej sztuki filmowej.

* * *

— Awangardowe pisma filmowe w rodzaju Cahiers du Cinema poświęcają panu dużo miejsca i otaczają pana głębokim szacunkiem. Co pan sądzi o reżyserach francuskiej nowej fali?

— Marzę o zobaczeniu ich dzieł. Nie widziałem wielu z nich, ponieważ lękałem się, że mogłyby one wpłynąć na mnie hamująco. Kiedy kręcę film nie lubię reminiscencji z innych dzieł, lubię myśleć, że wszystko sam po raz pierwszy wymyśliłem. Udzieliłem Cahiers wywiadu dotyczącego zagadnień filmu w ogóle, ponieważ sprawia mi radość fakt, że im się podobają moje



filmy. Kiedy chcą ze mną zrobić długi wywiad, nie mam wprost serca im odmówić. Ale to jest czysta komedia, ja po prostu zachwuję, używam nawet sformułowania „sztuka filmowa”. Moim przyjaciółm nigdy bym nie mówił o sztuce filmowej, raczej wolałbym paradować bez spodni po Times Square.

— Co pan sądzi o twórczości Antonioniego?

— Zgodnie z tym co powiedział pewien amerykański krytyk jednym z wielkich osiągnięć naszego wieku jest uczynienie nudy przedmiotem sztuki. Jeżeli tak jest naprawdę, to Antonioni zasługuje na to by być uznanym za pioniera i wielkiego odkrywcy w tej dziedzinie.

— A co pan sądzi o Fellinim?

— Fellini jest tak samo utalentowany jak każdy kto zajmuje się dziś robieniem filmów. Jego słabością jest to co stanowi zarazem o jego wdzięku. A mianowicie to, iż jest strasznie prowincjonalny. Jego filmy przypominają marzenia małego miasteczkowego chłopca o wielkim świecie. Wyrafinowanie jego filmów oddziałuje dlatego tak silnie, że jest tworem człowieka, który jest go całkowicie pozbawiony. W jego twórczości zauważyć moż-

na niebezpieczne oznaki tego, iż jest on niewątpliwie wielkim artystą, ale mającym niewiele do powiedzenia.

— A Ingmar Bergman?

— Nie podzielam ani jego zainteresowań ani jego obsesji. Jest dla mnie bardziej obcy niż Japończyk.

— A co pan powie o współczesnych reżyserach amerykańskich?

— Stanley Kubrick i Richard Lester są jedynymi, którzy do mnie przemawiają, z wyjątkiem oczywiście starych mistrzów. Mam tu na myśli Johna Forda, Johna Forda i jeszcze raz Johna Forda.

— Kiedy przyjechał pan do Hollywood w roku 1940, wielkie wytwórnie były jeszcze wszechpotężne. Czy wydaje się panu, że miałyby pan lepsze warunki 20 lat później, w epoce niezależnej produkcji?

— Wprost przeciwnie. Hollywood umarł właśnie wtedy, kiedy doś przybyłem. Żałuję, że nie mogłem tam zjawić się wcześniej. Powstało wiele niezależnych producentów zniszczyło mnie jako reżysera. Sześć lat później wytwórni: Jack Warner, Sam Goldwyn, Darryl Zanuck, Harry Cohn byli moimi przyjaciółmi lub przyjaźnią nastawionymi przeciwnikami, z którymi wiedziałem jak postępować. Oni wszyscy mieli dla mnie pracę. Liczyłem się w ich oczach. Od momentu pojawienia się niezależnych, tylko przez przypadek udało mi się reżyserować amerykański film. Gdybym w ciągu ostatnich pięciu lat zjawił się w Hollywood jako człowiek zupełnie nieznany, miałbym z pewnością wszelkie szanse. Ale ja nie jestem nieznany, ciągnę za sobą mój własny mit i miałem znacznie więcej konfliktów z niezależnymi niż kiedykolwiek z wielkimi wytwórniami. Byłem zawsze enfant terrible. Ale wielkie wytwórnie rozumiały co to znaczy. Jeśli nawet walczyliśmy ze sobą, sprawało to nam obojgą satysfakcję. Kiedy wytwórnia produkuje 40 filmów rocznie może się tam znaleźć miejsce na jeden film Orsona Wellesa. Ale niezależny producent to facet, którego działalność koncentruje się wyłącznie wokół spraw, które go osobiście interesują. W takiej sytuacji nie ma miejsca dla Orsona Wellesa.

— Czy można się nauczyć reżyserować filmy?

— Można opanować technikę podobnie jak można przyswoić sobie zasady gramatyki i retoryki. Ale nie można nauczyć się pisać, a reżyserowanie filmów jest bardzo podobne do pisania, z tą tylko drobną różnicą, iż w grę wchodzi także 300-cosobowa ekipa i wiele rozmaitych umiejętności. Reżyser musi funkcjonować jak dowódca w czasie walki: inspirować, pobudzać, zastraszcać, dodawać odwagi, podnosić na duchu, w ogóle przewodzić. W gruncie rzeczy jest to sprawa osobowości, którą znacznie trudniej uzyskać, aniżeli techniczne umiejętności.

— Jak pan wyobraża sobie dalszy rozwój kinematografii?

— Mam nadzieję, że ten rozwój nastąpi i to wszystko. Już od przeszło 20 lat nie było w filmie żadnego większego przewrotu, a bez takich przewrotów następuje stagnacja, a stąd już tylko krok do upadku. Mam nadzieję, że pojawi się zupełnie nowy rodzaj filmowania. Ale zanim to nastąpi, powinno się przynajmniej taniej realizować filmy i taniej je rozpowszechniać. Inaczej wielki przewrót nie nastąpi i artyści filmowi nigdy nie będą wolni.

— Czy biorąc pod uwagę fakt rozpowszechniania filmów na całej kuli ziemskiej, sądzi pan, że jakiś film mógłby zmienić bieg historii?

— Tak, i byłoby to na pewno bardzo zły film.

Tłum. M. K.

ANDRZEJ TUROWSKI

Wobec tradycji i współczesności

Publikując materiał Andrzeja Turowskiego redakcja pragnie rozpocząć dyskusję na temat plastyki w oparciu o łódzkie wydarzenia artystyczne. Okręgowa Wystawa ZPAP stała się niewątpliwie sposobną okazją do wymiany myśli i poglądów, dotyczących charakteru i dążeń współczesnych środowisk plastycznych w Polsce.

W najbliższym numerze zamieścimy wypowiedź Zbigniewa Kosińskiego.

Postulat uporządkowania pokazywanego zespołu prac powinien przyświecać każdej ekspozycji. Różnorodność propozycji artystycznych w ramach zbiorowej wystawy wystrza ten problem, nie stając się taryfą ulgową dla organizatora. Dopiero w tej sytuacji możemy o brazy widzieć szerzej, aniżeli jako manifestację szeregu indywidualności. Niemniej stworzenie takiego ładu jest szczególnie trudne w wypadku prezentacji dużego i niejednorodnego środowiska. Waga jednostkowej wartości wielorakich prac wylamuje się z zakresu jakiegokolwiek schematu porządkującego. uniemożliwia wspólnie, jednoznaczne ich nazywanie.

Ponieważ w chaosie Dorocznej Wystawy Malarstwa, Grafiki, Rzeźby Okręgu Łódzkiego ZPAP nie znajduje żadnego na rzucanego mi porządku, postaram się określić porządkujące i porządkowane tam prace w myśl mojego klucza, dla którego punktem wyjścia będzie problem ustosunkowania się artystów 1967 roku do starzej tradycji sztuki nowoczesnej w Łodzi, aby następnie poszukać tych, którzy tworzą nowe wartości. W ideowym kontekście, uwzględniającym kosmopolityczny charakter sztuki współczesnej, najbliższe tradycji będą malarstwa faktury i materii ciekawe prace Kunki, Zielińskiego, Głowackiego czy Balickiego.

Wzbogacenie chropowatej powierzchni w kompozycjach Kunki, pociągają za sobą wyszukane opracowanie kolorystyczne, które wystrza walor sensualny obrazu. Zieliński podobnie jak Głowacki, wierni własnej choć odmienniej drodze artystycznego rozwoju w dosłownej materialności, afunkcjonalnie w stosunku do popularnego zastosowania użytego metalu czy gąbki, starają się przy ich pomocy wydobyć akcenty nie tyle przedmiotowe takiego zestawienia, co malarzkiego efektu. Inaczej spokojne, rozumowe, wyzbyte emocjonalnego i spontanicznego rozmachu obrazy Balickiego, podkreślają ścisłą barwnością rytmy układów, w których najciekawszymi okazują się właśnie przełamania powtórzeń i ich ograniczenia.

Ciekawe reperkusje dziś spopularyzowanej działalności społecznej artystów dwudziestolecia, możemy co najwyżej odczytać w kontynuacji hasła organicznego i funkcjonalnego połączenia „czystego” dzieła sztuki z budownictwem, które znalazło najdobitniejszy wyraz na wystawie w działających architektoniczną masą płaskorzeźbach Starzewskiego. Odmienną formą choć podobną

swoim wyrazem jest realizm Garbolińskiego, który z pozorną „nowosielszczyzną” monumentalizuje obraz przenosząc akcent z nastroju intymności na operowanie siłą bliższą w działaniu malarstwu na murze niż wschodniej ikonie.

Natomiast do ciekawszych obrazów, mimo kameralności, należałoby zaliczyć „Kompozycję” Sprusiaka i pozornie nieuporządkowany kaligrafizm Pierzgańskiego. Powyższą charakterystykę ograniczam zakres określonych działań artystycznych, dla których nie tyle w bezpośredniej inspiracji co żywotności podejmowanego problemu kryje się nawiązanie do przeszłości, choć poszerzonej o kręte drogi uniwersalizmu nowej sztuki. Tym samym realizm Liberskiego obiegowo usprawiedliwiający własną słabość zarówno wizji artystycznej, jak i warsztatu tradycją, będzie aż nadto nieuzasadniony, aby móc pełniej angażować widza w jego poprzednio malowane westerny i obecne mikropojazdy białowieskiej puszczy.

Dzisiejsza panorama środowiska jest jednak bez porównania bardziej złożona i reprezentują ją nie tylko wyżej nazwane i ilościowo przeważające tendencje. Przykładowo: mimo narzucającej się odmienności dzieł Łukasiaka i Mackiewicza możemy porównać obrazy obydwu artystów, umieszczając je w ramach tej samej porządkującej konwencji, których symbolizm opiera się przede wszystkim o różne zastosowane środki literackie. Łukasiak konstruuje obraz, posługując się wybrudzoną i surową formą „art brut”, popierając ją jednoznacznym tytułem „Napalm”. Mackiewicz zbliżając się do ekspresjonistycznej narracji początków stulecia, usiłuje powiązać działanie podkreślonego dosłownym bogactwem formy tematu, z rozmyślnym archaizowaniem obrazu.

Określenie malarzkiej przestrzeni w sztuce abstrakcyjnej, sugerowanej jedynie bezkształtną plamą i kolorem poważnie dzisiaj zastanawia nad wartością poznawczą takiej propozycji. Wyeliminowanie podstawowych relacji przestrzennych jakie tworzą usytuowane przedmioty, sprowadza się w obrazach do wywoływania tajemniczego nastroju nieokreśloności. Toteż malarstwo odwołujące się do takiej problematyki zbliża nas do raczej nie sprecyzowanych emocji intelektualnych, choć na pewno pobudza do akceptacji i dekonstrukcji się dekoracyjnym walorem dzieła. Dlatego tylko mogą się podobać kompozycje płócien

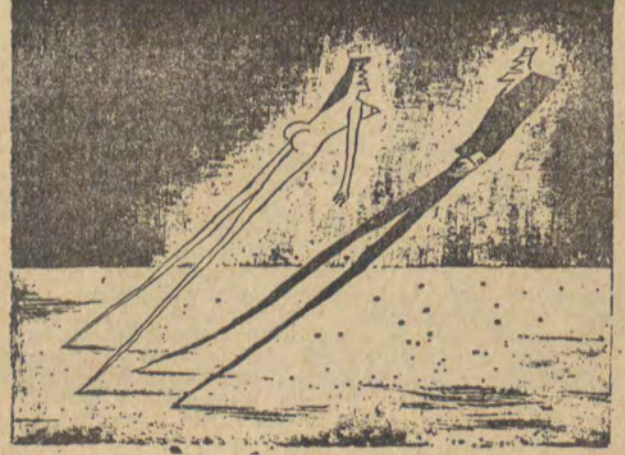
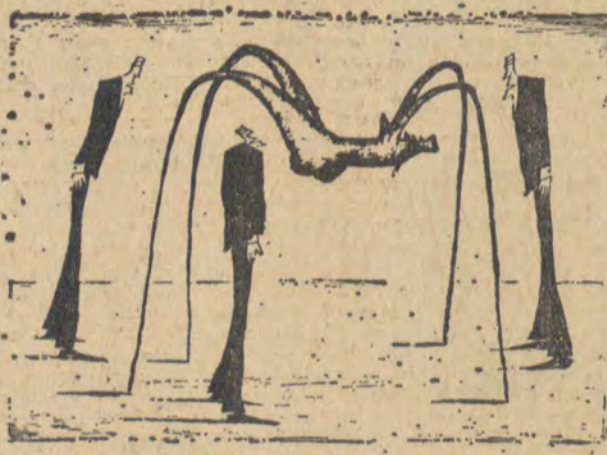
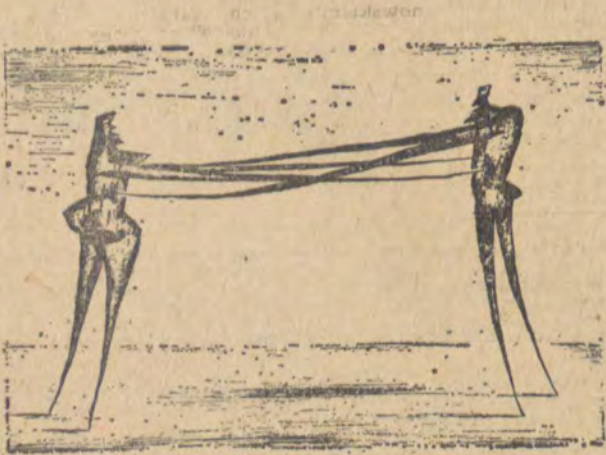
proponowane przez Kremera, na których wzrok prowadzony świetlistym promieniem przysiluguje się między innymi przynajmniej rozrzuconymi kryształami, podobnie pociągają wysmakowanie uciekającej bieli w obrazach Strumiły.

Faktu nikłego zainteresowania dla abstrakcji geometrycznej w czystym wydaniu współczesnego op-artu, nie przekreślają prace Fijałkowskiego. Rytmiki i obraz artysty mimo że opierają się o zgeometryzowane kształty, nigdy nie pokrywają się z efektami „wizualizmu”. Pomijając programowanie schematu, rygorystycznie prosta forma jest u niego wzbogacona subtelną wrażliwością. To ona pozwala traktować rysunki nie jako szok dla oczu a propozycję własnej poszerzonej o sferę przeżytej wizji, podbudowanej doskonałą biegłością trochę nerwowo prowadzonej kreski i cieniowanych powierzchni. Prace wykonane w technikach graficznych wydzielone osobnym miejscem ekspozycji pretendują do kameralnego ich odbioru. Taki jest Pióciennik, taka jest Pierzgańska. Pierwszy cytuje nadzwyczaj precyzyjne rytmy, które porządkującymi je strugami rozchodzą się i zbiegają, w subtelnych akordach nakładają się na siebie i przepiętają. („Dla Billa Evansa”).

Olbrymią wartością wystawy byłaby pozytywna odpowiedź stwierdzająca, że artyści danego środowiska prezentując różnorodne postawy, dają swoim dziełom dowód zaangażowania artystycznego, które wyraziłoby się świadomością własnego i wspólnego czasu. Odpowiedź taka pozwoliłaby widzieć obrazy jako wnoszące ważne elementy, szczególnie w twórczości artystycznej, indywidualnego poznania i określenia rzeczywistości, posługując się uniwersalnym językiem współczesności. Tym samym nie prowincjonalizm i eklektyzm, nie kompleksy i technostwo wyznaczyłyby hierarchię i poziom sztuki. Jednakże na bezwzględnej i pozytywnej odpowiedzi na wystawie pokusił się nie można. Ale warto niektóre z wspomnianych wyżej prac (a także i inne) traktować jako wizytówki, które w dopowiadających a nie pokazujących obrazach określają się pełniejszym głosem. Cóż, taka jest już w części sztuka współczesna, wymaga ingerowania widza, jeżeli nie w całokształt, to w pełniejszy wybór prac. Dlatego dla uważnego obserwatora o ilez łatwiej widzieć panoramę środowiska poprzez indywidualne wystawy. A możemy podkreślić jeszcze słusność tej uwagi, gdy uświadomimy sobie, jak doniosłą rolę w tworzeniu kultury odgrywa ją ci, co „idą skazac po górach”. Toteż nieprawdziwa jest de facto negatywna ocena sztuki łódzkiej, a tylko tak można sobie wyrobić po obejrzeniu 140 obrazów i innych tyłów samo grafik i rzeźb. Może warto się zastanowić nad celem takich ekspozycji?

Ponieważ recenzja w równej mierze wartościuje co informuje, podaje gwoździelność, że jury w składzie: Bogusz, Dawski, Koniuszy, Piotrowicz i Poznański nagrodziło w działach malarstwa, grafiki i rzeźby artystów: M. Jaeschke, K. Mackiewicza, H. Strumiły, W. Kondka, M. Mentela, L. Rózgę, S. Krygiera.

Rysunki Vlasty Zabranskiego



Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskreje

NOWE EGIPSKIE MUZEA

■ Sprawa wzniesienia nowych muzeów w ZRA jest niezwykle pilna. Pro wadzone intensywnie w ostatnich latach prace wykopaliskowe w dolinie Nilu sprawiły, że wy dobyto z ziemi wiele cen nych zabytków sztuki i świadectw starej cywilizacji. Istniejące dotąd egipskie muzea nie mogą już pomieścić tego bogactwa eksponatów. Projekt nowego wielkiego muzeum w Kairze przygotowano już w 1961 roku, ale nie został on zrealizowany z braku funduszy na ten cel. Aby je zdobyć rząd ZRA postanowił zwiększyć od dnia 1 kwietnia br. ceny wstępu do muzeów oraz zwiedzenia miejsc badań archeologicznych i zabytkowych. Ponadto postanowiono zorganizować produkcję pamiątek i ich sprzedaż. Jak dotychczas muzeum w Kairze cieszy się ogromną frekwencją. Zwiedza je przeciętnie 3.000 osób dziennie, najwięcej zaś w piątki kiedy wstęp jest bezpłatny.

Gdzie powstana nowe placówki muzealne? Przede wszystkim w Gizeh, będącym przedmieściem Kairu, znanym z piramid. Odbudowa się tam targi międzynarodowe i wielkie wystawy. Przewiduje się, że w muzeum w Gizeh znajdą się eksponaty najważniejsze ze wszystkich epok, a więc z czasów prehistorycznych, okresu faraonów, hellenizmu, z czasów wpływów koptów i islamu. Mu-



zeum to będzie nowoczesnym gmachem stojącym w otoczeniu ogrodów utrzymanych w stylu arabskim. Przewiduje się poza salami wystawowymi, urządzenie biblioteki, audytoriów itp. Inne muzeum powstanie w Aleksandrii, niedługoż żywym ośrodku kultury hellenistycznej. Następnie w Asuanie, gdzie zgromadzone zostaną za-

bytki pochodzące z Nubii.

W Luksorze, w Górnym Egipcie, nowe muzeum jest już w stadium budowy. Powstanie również w północnej części Sahary, w części należącej do ZRA, nowe muzeum. Będzie to gmach z betonu wśród płasków pustyni. Tu znajdzie się jakaś część spośród czterdziestu tysięcy zabytkowych waz.

OPOWIADANIA SUDAŃSKIE

■ Radzieckie wydawnictwo „Chudożestwien-



naja literatura” wydało ostatnio „Opowiadania pi sarzy Sudanu”. Jest to przekład z języka arabskiego. W ten sposób radziecki czytelnik może za poznać się z mało znaną literaturą sudańską, która jest bardzo młoda, istnieje dopiero od 1965 r. kiedy powstała afrykańska niepodległa Republika Sudan.

WE WŁOSZACH TELEWIZJA ZWYCIEŻYŁA ANALFABETYZM

■ Pod takim tytułem paryski dziennik „l'Humanité” zamieścił wywiad z Marią-Grazją Puglisi, dyrektorką kursu telewizyjnego „Tele-

scuola”. W roku 1958 czterech włoskich uczonych podjęło inicjatywę całkowitego zlikwidowania analfabetyzmu w kraju. Chodziło głównie o południowe, górskie rejony. Wysłano nauczycieli, organizowano kursy. Nie pomogło. Część analfabetów nie dała się przekonać do nauki.

Wówczas to Maria-Grazia Puglisi, profesor filozofii i historii, zorganizowała we włoskiej telewizji kursy dla analfa-

betów. Pracę poprowadzono w sposób nowoczesny, dbając o atrakcyjność kursów. Naukę czytania i pisanie uzupełniono programami rozrywkowymi, a ponadto włączono do programu pogadanki z zakresu higieny, rolnictwa i zagadnień współczesnych. I oto pod koniec trzeciego roku około 20 tysięcy uczniów korzy stających z nauki przy telewizorach zdało z dobrym wynikiem egzami ny przed specjalnie w tym celu wydelegowanymi nauczycielami. Tak więc analfabetyzm (poprzednio np. w Kalabrii 50 proc. mieszkańców nie umiało czytać i pisać) został całkowicie zlikwidowany. Obecnie w klubach telewizyjnych prowadzone są nadal kursy, ale już na poziomie szkoły podstawowej.

IGOR WASILIEW — MŁODY RADZIECKI RZEźBIARZ

■ „Szczęśliwe ośnienie” (Szczęśliwe ożarcie) — pod takim tytułem radziecki dwutygodnik „Smiena” kreśli sylwetkę młodego, talentowanego rzeźbiarza, Igora Wasiliewa. Moskwi czanin, mając lat 13 stał się mieszkańcem Rygi. Uczęszczał tam do siódmej klasy. Po lekcjach, w wolnych chwilach, wdrował zwiedzając nowe dla niego miasto. Podziwiał architekturę, zatrzymywał się przed zabytkowymi budowlami. Pewnego razu odwiedził się wejście na schody Akademii Sztuk Pięknych Łotewskiej SRR. Wkrótce zaznajomił się z profesorami tej uczelni. Interesując się plastyką od dziecka, uzyskuje po zwoleniu uczęszczania do Akademii jako wolny słuchacz. I oto Igor Wasiliew przed południem chodzi na zajęcia i wykłady do Akademii, po południu zaś na lekcje w szkole wieczorowej. Mija ją trzy lata. Igor zdobywa maturę, a równocześnie zostaje przyjęty na trzeci rok fakultetu rzeźby Akademii Sztuk Pięknych. W rok później bie-

żać już udział w wystawach republik i ogólnozwiązkowych. Znawcy sztuki stwierdzają, że po

1906 r. Była to komedija grana przez blisko rok w kręgach rodzinnych jedynie, gdyż żaden z teatrów sztuki nie wystawił. Mimo to po ukazaniu się jej drukiem, autor otrzymał na wet jakąś niewielką nagrodę literacką.

Znaleziony egzemplarz komediji jest w stanie oplakany. Tyłko okładka i pierwsza kartka nie uległy zniszczeniu. Reszta zainteresowała się intensywnie szczyry. Jeden z bibliofilów twierdzi, że gdyby książeczkę nawet w tym stanie wystawiono na licytacji uzyskałaby ona cenę 3.000 franków, jego koledy zbieracze mają jednak co do tego wątpliwości, twierdząc, że książka z której została jedynie okładka i jedna kartka nie interesuje bibliofilów i że co najwyżej potrafiłoby się na nią jakiś zbieracz osobiowości.

A oto tekst pierwszej strony (podajemy w brzmieniu dosłownym, nie siląc się na rymowanie, bo de Gaulle napisał „komedijkę” wierszem):
„(Przy podniesieniu się kurliny na drugim planie w poprzek drogi, wy ciągnięty, leży zbójca. Wygląda na to, że zawi nięty w wielki czarny płaszcz, spi). PODROZNY: (wchodząc ostrożnie z prawej strony): Brri! Jak zimno dzisiejszego wieczoru i jak ciemno!... Tylko drzewa odarte z liści sterczą w cieniu, jak czarne widma koło grobów!... (trzęsie się). Żaluję (nie wziąłem podwójnego płaszcza!... Wracając do domu tak późno, noca, co za nieostrożność!... (zwracając się ku jednemu z sąsiednich drzew) Hola! Kto tu jest?... Nie, niczego tu nie ma!... Jaka ciemność! (Mówi do posuwa się do przodu aż do zbójcy, który tręca nogą) Och! ZBOJCA (podrywa się na równe nogi): Do licha, panie! PODROZNY: (od skakując przerażony): Zbójca!... Jestem stracony!...”

„Tors” — (mahon)

jawił się nowy, oryginalny talent.

— Twórczość, sam proces tworzenia, zawsze mnie wzruszał i wzrusza — mówi Igor Wasiliew. — W procesie twórczym kryje się tyle tajemnic, że nie można ich rozkładać.

Zaczynając się wierszami Aleksandra Błoka, Igor stwarza jego wizerunek, wyobrażając sobie poetę tak, jak według niego wyglądał w latach młodości. U rzeźbiony muzyka Czajkowskiego, Lieta, Szopena — rzeźbi ich postacie. Wielu artystów, poetów, muzyków i plastyków, których dziełami Igor Wasiliew się zachwyca staje się przedmiotem jego studiów i tematem rzeźb.

W ostatnich latach w sztuce Igora pojawiają się nowe elementy — ekspresja, wydobycie piękna ludzkiego ciała, próba najłepszego oddania ludzkiej postaci w ruchu. Tworzy nowe rzeźby, symboliczne jak np. „Melodie” — wizerunek kobiety o pływających linach ciała, gdzie wrażliwość, lekkość, muzykalność, poezja, rzeźbiarz oddaje przez nieuchwytny niemal dla oka, ruch ręki, kobiety i jej lekki śmiech głowy.

Igor Wasiliew najchętniej rzeźbi w drzewie, ale pracuje też w brzozi, granicie a ostatnio eksperymentuje z tworzywami sztucznymi.

CHARLES DE GAULLE — KOMEDIOPISARZEM

■ Jeden z bibliofilów francuskich znalazł przez przypadek małą książeczkę. Jej tytuł: „Une mau vaise rencontre” (Złe spotkanie) którego autorem jest de Gaulle. Jest to prawdopodobnie unikat, gdyż tytuł ten nie figuruje w żadnych katalogach, ani nie ma go w Bibliotece Narodowej. „Złe spotkanie” Charles de Gaulle opublikował w



„Głowa Afrykanki”

Notatki na MARGINESIE

Aniśmy się obejrżeli („Odgłosy” — nie zdążyły jeszcze wyszperać chętnego do zrecenzowania dotychczasowych premier operowych w Łodzi krytyka muzycznego), a w Teatrze Wielkim już miała uroczystość: 100.000 widz na sali.

I oto na scenie kwiaty, drobne upominki, kieliszek — a jakie — szampana! Pan Disbardis — o którym pewien history krytyk muzyczny orzekł, że to najprzystojniejszy Europejczyk literacki — w sposób sympatyczny, przy padający do serca widow ni prowadził ten krótki obrządek. A my wydychamy: żeby tak zdobyć miejsce i nagrodę przeznaczoną, oby wkrótce, dla 1.000.000 widza.

W kufluarach Teatru Wielkiego szeptem uspokajają nas: nie będzie w Łodzi Festiwalu Oper tek. Co za ułga!

Natomiast — również szeptem — mówi się o innym festiwalu, godniejszym zobowiązujących progów tego Teatru. Jesli rzecz nie rozejdzie się po kościach — jak to już nieraz bywało — wkrótce szczegóły.

Tadeusz Minc przyjął zaproszenie Trójmiasta i wyjeżdża z Łodzi, by objać — i chyba czule — Nowy Teatr w Gdańsku. Ubywa więc Łódź reżysera (a sadzę, że na takie krwiodawstwo nas nie stać!) który osiągnął w bieżącym sezonie największy sukces!

Ponieważ lubię plotkować, przypominę historie sprzed 3 lat: Jerzy Nowosielski, artysta-malarz ze ścisłej czołówki polskiej, nie uzyskał profesury w Łódzkiej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Wyjechał więc do Krakowa, gdzie został przyjęty przez uczelnię, i przez środowisko plastyczne, i przez miasto — z otwartymi ramionami. Uważam, że tak w jed-

nym, jak i w drugim wypadku zaprzyjaźnione miasta winny chyba okazać wdzięczność (może jakiś dyplom?) tym łodzianom, którzy się do powrótów ekspatriacji przyczynili.

I. Pada deszcz. Zajeżdża taxi, czarny, nowutki jak Mercedes i stawia — jak przystało na Mercedes — warunki. Kto na Chojny? Przy kierownicy siada jakaś młoda pani, z tyłu — ja. Pani mówi, o jaki piękny wóz, ileż to on pana kosztował? 360.000 — odpowiada kierowca.

II. Córka pewnego badydylarza wyszła za mąż w osiemnastym wiosnie życia. Po roku się rozwiodła. Tatęś dał jej na o tarcie leż — 1.000.000 złp.

III. Znajomy architekt mówił mi, że nadzoruje wznoszoną na peryferiach wille pewnego pana nieokreślonej profesji. Kosztorys wille — oczywiście nieoficjalny — od 2 do 3 milionów.

POSTSCRIPTUM: Jak przyjemnie zanotować takie trzy obrazki. Teraz już tylko trzeba brać się do pisania felietonu. Tytuł „Nasza mała stabi-

zacja”. Honorarium — (bądź co bądź) 200 zł!

Gdybyśmy w zakresie polityki kulturalnej potrafili wyciągać trafne wnioski z oczywistych faktów, średniowiecze Łodzi posiadałoby na pewno parę takich placówek jak nasz Klub Międzynarodowej Prasy i Książki. Mało jest bowiem placówek kulturalnych, w których popyt na karty wstępu przekracza możliwości organizacyjne i lokalowe.

A już na pewno filie klubu — a może jego odpowiednik zrodzony z symbiozy Domu Książki — z nową kawiarnią — zlokalizowali byśmy w nowych blokach vis a vis Łódzkiego Gmachu Partii. Chociażby w lokalu, który dostał się „Delikatesom”. Funkcje owych „Delikatesów” (n.b. zorganizowanych chyba na gorze) w kraju z powodzeniem przejąłbyby z zyskiem i mniejszym sklep. A nowe centrum zyskałoby atrakcyjną i, jak można stwierdzić na ulicy Narutowicza — faktycznie a nie tylko „sora wozdawczo” — żywą placówkę kulturalną.

Do roku 1970 wyburzono zostanie rudera — zawalidroga przy rogu

Piotrkowskiej i Zielonej. To dobrze, nikt jej nie lubi prócz (areyinteresownych) członków „ZAIKS”.

Ale w ruderze mieści się Pegaz, księgarnia bliska sercu każdego łódzkiego książkomania ka. I nie nie słychać, by zasłużonej placówce szykowano przesady do nowego, pięknego (oby!) lokalu. Raczej, grozi — jak twierdzą wjażniemni — po prostu likwidacja milego i zasłużonego Pegaza.

Lecz my się nie zgadzamy! My protestujemy! My żądamy by Pegaz pozostał w śródmieściu! Niech ojcowie miasta już myślą o jego nowej lokalizacji! Jeśli tę sprawę zaniechają — grozi im srogi gniew tłumów: ten tłum to 10 proc. łódzkich nabywców książek (dane statystyczne nie ściśle i sprawdzone).

Ambasador USA John Granouski przebywał w Łodzi i miał pracować dzień o bogatym programie. Mimo to bardzo nas zawiodł. Nasza zna-

Ameryki, ale wiadomo np. że fałszowany obraz Deraina nabyło wielkie muzeum w Tokio).

Jak trudne jest wykrycie przestępstwa ilustruje następujący fakt. Pewnego dnia Raoul Dufy (którego fałszykaty sprzedano do Ameryki) dowi edziawszy się adresu fałszerza udał się do jego pracowni w asyście policjanta. Istotnie na ścianach pomieszczenia ujrza no niezliczoną ilość kopii obrazów Raoula Dufy. Gdy malarz zarzucił fałszerstwo, fałszerz od powiedział cynicznie: „Zachwyćcie się malarstwem Raoula Dufy. Robię co tylko w mej mocy, aby zdobyć choć kopie jego dzieł. Chcę się nauczyć malować tak jak on. Czyż to jest przestępstwo?”

Kopie wolno sporządzać. Wolno je sprzedawać. Przestępstwem jest jedynie gdy ktoś świado nie sprzedaje kopię jako oryginał. Ale uchwycenie tego momentu przez policję jest niezwykle trudne, a przy metodach szajki fałszerzy praktycznie nie do udowodnienia. Na razie policja wstrzymała wystawione do sprzedaży dwa fałszowane gwasze Raoula Dufy i olejny obraz Deraina.

W DWUDZIESTĄ PIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI ROBERTA MUSIL

■ Szwajcarski dziennik „Journal de Genève” w dodatku poświęconym literaturze i sztuce zamieszczając zdjęcie wili li przy drodze do Clochette, niedaleko od obecnego miasteczka uniwersyteckiego, przypomina, że umarł tu 15 kwietnia 1942 roku, przebywając na uchodźstwie w Szwajcarii, wybitny pisarz austriacki Robert Musil. Wówczas to w krótkiej notatce pismo, donosząc o śmierci Musila, przywróciło jego twórczość do pisarstwa Prousta. Wtedy twierdzenie to mogło wydać się zbyt śmiałe, obecnie jed-



Willa, w której w ostatnich latach swego życia mieszkał Robert Musil

joma — pani Marysia — wyraża ten zawód lapi-darnie „Coś takiego! Zebym nie znalazł chwili czasu i nie wstąpił do cioci Granowskiej na ciastka!”

Pan Wowo Bielicki z TV Warszawskiej wpadł na zaiste genialny pomysł: postanowił mianowicie — a co postanowił to i 29. IV, wykonał — za pośrednictwem Interwizji pokazać połowie Europy najciemniejsze i najuboższe „wesole” miasteczko tej części świata.

Dzięki temu w ubiegłą sobotę poszedł w świat obraz mroków nad Wisłą, „cielętnika”, w którym pół kopy żalonych młodzieńców podrygiwało w tańcu świętego Wita, kiepskich jarmarcznych ekwilibristów, a na tym tle i parę męczących się nieudolnie niezłych przecie piosenkarzy. Jednym słowem: widowski telewizyjny zrobił pan Wowo, że ho! ho!

Bądźmy jednak sprawiedliwi: pokazano przy-

tej okazji Interwizji również i kiepskich piosenkarzy. Nam szczególnie przypadł do gustu bardzo przez reżysera eksponowany długowłosy osobnik, który czarował Polskę i Zaprzyjaźnione Mocarstwa Telewizyjne

a) uduchowioną aparycją,
b) fascynującym głosem,
c) błyskotliwymi tekstami.

Szczególną głębią filozoficzną odznaczał się tekst doradzający by nie wstawać z łóżka lewą nogą: Istotnie, po cóż tak nieproduktywnie zatrudniać lewą nogę, jeśli w tym samym czasie można napisać tekst piosenki, która trafi potem na Interwizję?

PS. Po doświadczeniach płynących ze sprawy Słowieskiego, przy miotnieniu „uduchowiona”, „fascynujący” i „błyskotliwy” wybrałem po konsultacji z naszym radcą prawnym, który odradził mi nazywać rzeczy po imieniu.

WACŁAW BILIŃSKI

